

BYĆ CZECZENEM - POKÓJ I WOJNA WIDZIANE OCZAMI CZECZEŃSKICH UCHODźCÓW



Wpisał: Administrator
23.07.2008.



Książka zawiera prace uczniów czeczeńskich, poświęcone przeszłości i teraźniejszości Czeczenii. Odzwierciedlają one osobiste doświadczenia autorów, dzieje ich rodzin i losy różnych ludzi na tle historii Czeczenii. Prace te zostały wybrane spośród wypracowań, przysłanych na konkurs Stowarzyszenia Memoriał „Człowiek w historii. Rosja – wiek XX” w latach 2003-2004. Dołączono również prace czterech uczniów rosyjskich, poświęcone losom uchodźców czeczeńskich w Rosji.

Tytuł oryginału: **Быть чеченцем: Мир и война глазами школьников**

-

Tłumaczenie: Aniela Czendlik

Spis treści:

Wstęp - Czeczeńska pamięć

I. „póki żyw będę...”

Moje lata

Historia dla moich dzieci

Pod bombami

Dzień Artylerzysty

Dopóki życia stanie

Przeżyliśmy trzy wojny

Samaszki

Niebo nad Gudermesem

II. „Zgromadzę swoje dzieci...”

„Bohcz” mojej babci

Jestem z tejpu „terto”

Znowu wojna

Jestem Czeczenką, córką Czeczenów

Gdzie ja zbiorę swoje dzieci?

Mój pradziad – Salam-muła

Czeczeńska rodzina: związek epok i pokoleń

Mój pradziadek Abdul-Kadyr-Kaimow

Nasz los

III. „Lubię oglądać stare fotografie”

Rachimat i babcia Ola

Czeczeński Jesienin

Wiara, nadzieja, miłość Lidy Jandijewej

Losy Jesimat

Niedole wajnachskich kobiet

Krwawy popiół Chajbachu

IV. „Lekcje, które niczego nie uczą...”

Rosjanie i Czeczeni! Dlaczego nie możemy żyć w zgodzie?
Czeczenia. Powiedz mi, żołnierzu, co cię boli...
Nie powinno być na ziemi obcych sobie ludzi
Lekcje, które niczego nie uczą

Suplement

Rosja i Czeczenia: krótka chronologia wzajemnych powiązań
Dzieci przeszłości = dzieci teraźniejszości
O konkursie „Człowiek w historii. Rosja – wiek XX”

Być Czeczenem:

pokój i wojna widziana oczami czeczeńskich uczniów

Książka zawiera prace uczniów, głównie szkół czeczeńskich z lat 2003-2004, przysłane na ogólnorosyjski konkurs historyczny „Człowiek w historii. Rosja – wiek XX”, ogłoszony przez Stowarzyszenie „Memoriał”. Wydanie ukazało się dzięki Urzędowi Głównego Komisarza ONZ ds. Uchodźców, programowi „Migracja i prawo”, Centrum Ochrony Praw Człowieka, Stowarzyszeniu „Memoriał” i portalowi internetowemu „Węzeł Kaukaski”.

Czeczeńska pamięć

Irena Szczerbakowa, dyrektor programu Stowarzyszenia Oświatowego „Memoriał”

„Okazuje się, że do szczęścia potrzeba niewiele: wystarczy tylko świadomość, że jeszcze żyjesz” – tymi słowami kończy się jedna z pierwszych czeczeńskich prac, jakie napłynęły na nasz konkurs.

Ogólnorosyjski konkurs historyczny „Człowiek w historii. Rosja – wiek XX” został ogłoszony przez Międzynarodowe Stowarzyszenie „Memoriał” w roku 1999. Byliśmy zaskoczeni, że konkurs zyskał tak szeroki rozgłos: codziennie przychodzą do nas tysiące prac ze wszystkich zakątków Rosji. Ale, trzeba przyznać, nie myśleliśmy, że w tym chórze usłyszymy głosy czeczeńskich nastolatków. Wprawdzie temat wojny w Czeczenii, tak czy inaczej, występuje w pracach rosyjskich uczestników konkursu, bo jest obecny na łamach codziennej prasy, a wojna ta wywołuje duży oddźwięk w społeczeństwie rosyjskim. Szczególnie uwidacznia się w opowiadaniach o losach ojców i starszych braci, przeżywających traumę w wyniku doświadczeń - fizycznych i moralnych – doznanych na wojnie czeczeńskiej.

Uważaliśmy za sprawę zasadniczą, by w naszą „historyczną” dyskusję wpleść wątek Północnego Kaukazu, zwłaszcza czeczeńskich uczniów, a przez to chociaż w niewielkim stopniu zrozumieć, co myślą o swojej historii.

W roku 2003 podjęliśmy starania, aby o konkursie dowiedzieli się nauczyciele i uczniowie w Czeczenii. Przeprowadzenie konkursu w tym kraju było możliwe dzięki współpracy między portalem internetowym „Węzeł Kaukaski” a koordynatorem konkursu w Czeczenii, którym została Asijat Murtazalijewa.

Tym niemniej trudno było przypuszczać, że w Czeczenii znajdą się nastolatki, które by zechciały przesłać swoje prace do Moskwy na konkurs. Jak pisze jedna z uczestniczek, starając się ostrożnie wyrazić swoją opinię: „Jestem Czeczenką... Być może, to niezbyt pożądana narodowość w ogólnorosyjskim konkursie”.

Zachęcając do pisania prac historycznych, zdawaliśmy sobie jednocześnie sprawę, jak trudno cokolwiek zdziałać bez muzeów, bibliotek czy archiwów. Ilu czeczeńskim rodzinom udało się ocalić jakieś rodzinne dokumenty? O jakich archiwach rodzinnych można mówić, skoro tam brakuje czasem nawet najbardziej elementarnych warunków do życia i nauki. „Pragnę – pisze jeden z uczestników konkursu - by ludzie po przeczytaniu tego wypracowania zrozumieli, że mamy już dość życia wśród ruin naszych domów, bez światła, łączności, bez wody. Nasze osiedla są daleko od głównej magistrali czy centrów handlowych. Wieczorami, kiedy odrabiamy lekcje, nie ma światła, praktycznie nic nie widać, a rano znów to samo – przychodzimy do szkoły, nic nie widać, ciemno w klasach”. (Przypominają się, przychodzące również na konkurs, opisy trudnego dzieciństwa w czasach Wojny Ojczyźnianej.)

Byliśmy zdumieni ilością prac, które napłynęły na konkurs w latach 2003/2004. Z Czeczenii dostaliśmy ich aż 155, to kilkakrotnie więcej niż z innych, bardziej spokojnych rejonów kraju, łącznie z Moskwą i Petersburgiem.

To oczywiście, że wypracowania uczniów czeczeńskich różnią się od prac ich rówieśników z Rosji. Ale najważniejsza różnica nie dotyczy stopnia „naukowości” i umiejętności wykorzystania dokumentacji archiwalnej, ale głównie tego, że jest to często opowiadanie nie o cudzej, ale o własnej przeszłości, o tym, co autorzy sami przeżyli.

Dwie wojny, na których tle minęła znaczna część życia czeczeńskich czternasto-siedemnastolatków, zmieniły ich w ważnych świadków historii. I swoją pamięć, stanowiącą mały wycinek całości, analizują już jako część zbiorowej pamięci narodu.

O czym zatem piszą autorzy prac przysłanych z Grozno i innych miejscowości, których nazwy kryją ogrom smutku i cierpienia – Samaszki, Gudermes, Argun, Szali?

Najstarsi z nich pamiętają strzępy wydarzeń z czasów pokoju przed rokiem 1994 – tzn. sprzed pierwszej wojny czeczeńskiej. I to odległe życie jawi im się prawie jak opowieść o utraconym raj. (Nieważne, co rzeczywiście sami pamiętają, a co przekazali im dorośli.) Na tle wojennej zawieruchy i zniszczeń, jako symbol cudownego, spokojnego życia, pojawia się głównie Grozny, przed wojną wielkie i porozrzucone po okolicznych wzgórzach radzieckie miasto. Dzisiaj uczniowie czeczeńscy „wspominają” go tak: „Przypomina się Grozny – najpiękniejsze miasto w Północnym Kaukazie – tonący w zieleni. Jakież tu były parki, skwery, fontanny, ogromne sklepy, teatry, szkoły, uczelnie!”, „Mój dziadek wspominał, jakie to było miasto – piękne, wysokie domy, kina, cyrk, kluby, ile było ludzi, młodzieży, jak chodzili do teatru, do kina”.

Wszyscy wiemy, że życie w czasach radzieckich i poradzieckich bynajmniej nie było wspaniałe, ale nie ma z czym tego porównać. Oto, co zastali ci młodzi ludzie, kiedy doszli do świadomego wieku: „W co dzisiaj zmieniło się miasto? Zburzone domy, pogorzelniska, śmiecie, ogromne dziury w drogach – same ruiny. Nie ma ani jednego żywego drzewka, ani jednego żywego krzaczka, wszystko martwe. Jakby ręka śmierci starła wszystko z oblicza ziemi. Z dawnego Grozno zostały tylko ruiny i wspomnienia. Pozostały tu jedynie dziczące psy i ludzie, którzy nie mają dokąd pójść, i do tego jeszcze żołnierze z bronią w ręku, którzy od rana do wieczora chodzą po domach w poszukiwaniach nowych ofiar tłumacząc, że przeprowadzają kontrole”.

Obrazy, które utrwaliły się w ich pamięci, a które oni starają się nam przekazać, w większym lub mniejszym stopniu związane są z wojną: jak wychodzili przez tzw. korytarze, jak ich ostrzeliwano, jak całymi dniami, a czasem tygodniami siedzieli w piwnicach, jak wracali do na wpół rozwalonych domów i znów uciekali.

Te niekończące się epizody zlewają się w jedną opowieść: „Przez całą drogę do wioski Pobiedinskoje rodzice nieśli Danię na zmianę. Ja razem z bratem, licznymi kuzynami i kuzynkami szliśmy asfaltową drogą razem z dorosłymi. Na plecach nieśliśmy tornistry, w których oprócz książek było trochę jedzenia i jakieś zabawki. Ludzi było bardzo dużo i prawie wszyscy podążali w tym samym kierunku. Rzadko można było zauważyć takich, którzy szli w kierunku przeciwnym, w stronę miasta. Byli to ci, którzy szukali swoich krewnych. W nadziei na spotkanie kogoś z bliskich przedzierali się pod prąd ludzkiego potoku i wpatrywali się uważnie w twarze przechodniów”.

„Rozległ się wybuch i tumany kurzu zasłoniły zarówno ich samych, jak i nas, stojących w pobliżu. Cały czas trwała bezładna strzelanina i nadal nie można było ustalić, kto do kogo strzela. Z przyzwyczajenia padliśmy na ziemię. Wtedy nastąpiło kilka eksplozji granatów. Kobiety i dzieci próbowały wydostać się z tego ludzkiego kłębowiska. Wykorzystałem niewielką przerwę w wymianie ognia, wyskoczyłem i pobiegłem w kierunku szkoły nr 41, skąd przyszliśmy na skwerek”. „Pierwszego dnia wojny ja, moja siostra Marina i wszyscy moi przyjaciele wracaliśmy ze szkoły. Nagle nad nami pojawiły się samoloty, a potem niedaleko nas usłyszeliśmy wybuch. Przybiegliśmy do domu przerażeni. Nie zastaliśmy tam nikogo, mama była w pracy, jest nauczycielką w młodszych klasach, a tato również był w pracy, jest kierowcą. Po chwili poszliśmy sprzątać schron, ale za bardzo nam się nie przydał. Z każdym dniem było coraz gorzej, na moje miasto spadały bomby i pociski”.

Tak, wojna to dla nich temat najważniejszy, ale w ich pracach nie ma żadnych prób wyjaśnienia sobie i innym, dlaczego zaczęła się pierwsza, a potem druga wojna czeczeńska. Bez końca powtarza się motyw: żyliśmy spokojnie, a nagle na nas napadli. Jednak nie można się dziwić, że nastolatki nie są w stanie wyjaśnić tego, czego dorośli nie potrafią im wytłumaczyć. Trafnie napisała dziennikarka, komentatorka wojen czeczeńskich, Galina Kowalska w jednym ze swych artykułów: „Wojna czeczeńska to absurd w stylu Kafki. Podawane przyczyny nijak nie mają się do przebiegu wydarzeń, nikt też nie stara się dotrzeć do prawdy. Próby znalezienia jakiegokolwiek racjonalnego uzasadnienia tej wojny prowadzą donikąd. Rodzą się mity – dziwaczne i niedorzeczne. Jednak nie bardziej niedorzeczne niż sama rzeczywistość”. Prace uczniów czeczeńskich stanowią ilustrację tych słów.

Jakkolwiek by dorośli okłamywali się nawzajem, nastolatki doskonale wyczuwają fałsz i bezsilność tych, którzy nie potrafią ich ani strzec, ani bronić. A przekleństwa pod adresem wojny, którymi upstrzone są prace czeczeńskich uczniów, skierowane są przede wszystkim do dorosłych (choć wydaje się, że donikąd, w powietrze). „Nikt nigdy nie da rady wyperswadować mi, że najstraszniejszym złem na Ziemi jest wojna. Niestety, młode pokolenie Czeczeńców dowiedziało się o niej nie z książek czy filmów. Ona przeszła jak trąba powietrzna przez nasze dni, przez nasze życie”.

Większość uczniowskich prac to opowiadania o wojnie i na tle wojny, której przyczyn nie rozumieją, a której nie ma końca. W tych czeczeńskich historiach występują kobiety, dzieci, starcy, ale nie ma walczących bojowników. Nie ma też „federalów”: żołnierze czy lotnicy występują prawie w każdym wypracowaniu, ale jako jednolita masa, bezosobowo (biorą szturmem, bombardują, czasem nakarmią, czasem zabiorą jedzenie).

Świat nastolatków w Czeczenii niezwykle się zawęził – wszystko kręci się wokół rodu i rodziny albo powiązań rodzinnych, bo tylko to daje jakieś poczucie bezpieczeństwa: „Byliśmy uchodźcami w wiosce Gojty. Na naszym podwórku żyły trzy rodziny: babcia, ciocia i kuzyn; wujek z żoną, ich dwóch synów i dwie córki i nasza rodzina – tato, mama, ja, trzy siostry i brat. Tego ranka każdy z nas jakby przeczuwał nieszczęście, wszyscy byli w stosunku do siebie niezwykle uprzejmi i bliscy”.

I chociaż wielu pisze, że wojna w Czeczenii zniszczyła struktury rodowe i rodzinne, to jednak autorzy prac stale odwołują się do historii swych rodów – i jakkolwiek by ta rodowa pamięć była zmitologizowana i wyidealizowana, jest to bez wątpienia ich sposób identyfikowania się ze swoim rodem. Świadomość rodowa, deklaracje miłości ojczyzny, przysięgi dochowania jej wierności – występują niezwykle często. Ale patos,

który czasem może wydawać się nieco teatralny, dla tych nastolatków jest czymś naturalnym i niesłychanie ważnym.

W wielu opowiedzianych nam historiach rodzinnych – bo historie czeczeńskie to przede wszystkim historie rodzinne (i nie tylko dlatego, że nie ma innych źródeł czy archiwów) – główny trzon stanowi deportacja 1944 roku. Nawet kolektywizacja i rok 1937, który też zahaczył o Czeczenię – wszystko to blednie wobec tragedii wysiedlenia, mającego w Czeczenii niezwykle brutalny przebieg. Symbolem upamiętniającym tę narodową tragedię pozostają spaleni żywcem mieszkańcy wsi Chajbak.

Ciężkie doświadczenia tych młodych ludzi spowodowały, że nawet odwieczny problem, jakim jest konflikt pokoleń, występujący często w pracach uczniów rosyjskich – tu prawie nie istnieje, jest za to więź pokoleń – serdeczne relacje z ludźmi starszego pokolenia, którzy pamiętają jeszcze spokojne życie i do tych wspomnień wracają.

Mało tego, być może teraz, na tle doznanych przeżyć i własnej pamięci, bliższe stały się młodym Czeczenom przeżycia dziadków i babć, którzy doświadczyli koszmaru deportacji 1944 roku. Te „pamięci” w niektórych pracach tak ciasno się splatają, że miejscami nie wiadomo, o kim jest mowa. Relacje babć i dziadków (zwykle, oczywiście, babć – to, nawiasem mówiąc, łączy wszystkich uczestników konkursu, bo najczęściej nośnikami rodzinnej pamięci są właśnie babcie) są pisane „jakby” w pierwszej osobie. Często o okropnościach deportacji opowiada się w czasie koszmaru bombardowań, w piwnicy. W takich chwilach znaczenie tych ciężkich doświadczeń nieprawdopodobnie wzrasta – jeżeli dziadkowie i babcie wtedy przeżyli, to i my teraz przeżyjemy. Rośnie również znaczenie wspomnień (a zwłaszcza najważniejszej ich części – dotyczącej zachowania obyczajów i języka). Cóż można zabrać z sobą w czasie deportacji (ten motyw powtarza się w naszych pracach dziesiątki razy) oprócz pakowanych w pospiechu węzełków? W najlepszym wypadku – maszynę do szycia „Singer” (ten przedmiot jako symbol i sposób na przeżycie łączy setki historii rodzinnych uczestników naszego konkursu z różnych regionów i różnych narodowości). „W Starych Atagach ogłoszono, że z rozkazu Stalina Czeczeni muszą zostać wysiedleni. Zebrano wszystkich i zaczęto wywozić z wioski. Przyszło do nas trzech mundurowych i pytali, gdzie są dorośli. Powiedziałam, że mama i brat pracują w Groznych w zakładach wojskowych i właśnie na nich czekamy. Żołnierze powiedzieli, że nie warto, bo oni już nie wrócą i zaczęli mi pomagać w pakowaniu. Radzili zabrać z sobą prowiant i jakieś ciepłe rzeczy. Z jedzenia była tylko mąka kukurydziana, a z ciepłych rzecz – mamin płaszcz i tatowa kufajka. Przerzeczonałam zabranie maszyny do szycia «Singer». Pozwoliła nam potem przeżyć w Kazachstanie”.

Ciężko jest czytać takie prace, miejscami dość jednostajne, jak monotony epos czy narracja, z licznymi powtórzeniami i różnymi opisami jednego i tego samego wydarzenia: lutego 1944, stycznia 1995 czy jesieni 1999... Niemniej i te krótkie, czy nawet pourywane wypowiedzi, zmuszają do zastanowienia nad zmianami, jakie z biegiem lat dokonywały się w Czeczenii i jak pokrywają się one z wydarzeniami, które miały miejsce u nas.

Czym jest w historii Rosji deportacja narodu czeczeńskiego? W najlepszym wypadku jedynie tragicznym epizodem w ogólnym kontekście stalinowskiej epoki. W rzeczywistości dla każdego narodu inaczej płynie czas i inaczej zmieniają się epoki historyczne. Raz bardzo powoli, raz błyskawicznie. Każdy naród ma własną historię, własny język i własny czas. Szkoda tylko, że nigdzie nie zapisano zasad, którymi należy się kierować przy jego określaniu. Według godzin na zegarze czeczeńskich wspomnień niedawno był zarówno Szamil, jak i rok 1870 obok 1996. Rosja już zapomniała, kiedy podbiła Kaukaz. Czy rzeczywiście było to tak dawno, a więc nigdy? To samo dotyczy deportacji – też było to bardzo dawno temu, ale potem wypędzonym pozwolono wrócić - a więc przeproszono - i jakie dzisiaj są tego skutki? Nawet w pracach konkursowych widać, że Czeczeni mają zupełnie inne poczucie czasu: wydaje się, że wysiedlono ich wczoraj, dzisiaj rano pozwolono wrócić (nie chodzi o powrót, a jedynie o pozwolenie), zaś w ciągu dnia bombardowano. Na razie nie jesteśmy w stanie zrozumieć tej różnicy czasu historycznego – perspektywy wspólnej przyszłości są zbyt smutne. W każdym razie nawet przy pomocy ciężkiego młota nie można przesunąć wskazówek na czeczeńskim zegarze historii.

Niezrozumienie tych rozbieżności w podejściu do czasu historycznego ma poważne i na dodatek nieodwracalne konsekwencje, które doprowadziły do tego, co teraz dzieje się w Czeczenii. Nie rozumieliśmy i nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaką niestępną ławą jest ludzka pamięć – wystarczyło tylko zetrzeć z niej cieniutką skorupkę. Wypracowania młodych ludzi dają tego przykłady.

Czym dla czeczeńskich nastolatków jest dzisiejsza Rosja? Przede wszystkim ci, którzy przysłali nam swoje prace, pisali po rosyjsku i ich przestrzeń kulturowa wciąż jeszcze pokrywa się z przestrzenią kultury rosyjskiej. W wielu pracach zostały przytoczone cytaty z Lermontowa czy Tołstoja, a wersy z „Hadži-Murata” i „Olbrzyma” służą często jako motto. I ma się wrażenie, że, zwracając się do nas, mimowolnie „zaklinają” nas tą kulturą. Czeczeńscy uczniowie z pewnością czują, że jest to bodaj czy nie ostatnia przestrzeń, w której możliwe jest jakieś wzajemne zrozumienie.

Wielu z tych, którzy przysłali prace na konkurs, stara się zachować obiektywizm w stosunku do strony rosyjskiej, bądź co bądź mówią o ludziach, którzy w ich oczach uosabiają pewną nadzieję na zrozumienie i pojednanie, na przykład o Wiktorze Popkowie, którego obraz maluje w swojej pracy Maksym Isajew z Groznego: „Wiktor zginął z rąk bandytów, jakiegokolwiek by byli narodowości i jakimkolwiek językiem by mówili. Był malutkim promyczkiem nadziei dla udręczonego przez wojnę narodu czeczeńskiego. Znali go wszyscy w najdalszych zakamarkach naszej republiki. Piechotę, z sakwą na plecach przedostawał się do nawet najbardziej niedostępnych górskich aułów. Szedł do ludzi biednie ubrany, z twarzą pobożnego człowieka, któremu obce były marność świata. Nie wiem, kim byli ci, którzy podnieśli na niego rękę.”.

Jest zupełnie oczywiste, że „rozmawiają” z nami ci, którzy są usposobieni nadzwyczaj pokojowo, którzy pojmują beznadziejność takiej wojny i takiego oporu. Czeczeńscy uczniowie zwracają się do szerokiego kręgu adresatów, a nie tylko do organizatorów konkursu. To zachęciło nas do opublikowania chociaż części tych prac w formie niewielkiego zbioru. Uważaliśmy za konieczne włączyć do publikacji również utwory uczniów z innych rejonów Rosji, w których mówią o swoim stosunku do tego, co dzieje się w Czeczenii. Trudno byłoby zrealizować szeroką debatę, niech więc chociaż toczy się ona na stronicach tej książki. Aby czytelnikowi łatwiej było zrozumieć czeczeńskie realia, poprosiliśmy pracownika Centrum Ochrony Praw Człowieka, Aleksandra Czerkasowa, o skomentowanie faktów, o których mowa w uczniowskich wypracowaniach.

W encyklopedii Brockhousa, wydanej dokładnie przed 100 laty, w artykule poświęconym Czeczenom czytamy: „Czeczeni nigdy nie biją swoich dzieci, ale nie dlatego, że są przesadnie sentymentalni, lecz z obawy, by nie uczynić z nich tchórzy”. Dzisiaj nie o tchórzostwo chodzi. Nie biją, to znaczy wyrabiają w nich poczucie własnej godności i swojego miejsca w świadomości narodu i historii.

Uczucie to przenika wiele prac w tym zbiorze.

„Dopóki żył będę...”

Moje lata

Maksym Isajew, Grozny, szkoła nr 61, kl. 9

Ojczyzna, dom, ulica, bliscy. Dla wielu moich rówieśników, przynajmniej za granicami naszej republiki, to prawdopodobnie zwykłe słowa. Ale zarówno dla mnie, jak i

dla tysięcy moich współobywateli, mają one zupełnie inne znaczenie. Nauczyłem się rozumieć głębiej tych pojęć i cenić to, co w nich drogie, ojczyście, bez czego nie byłoby nas ani naszej przyszłości. Nauczyłem się z niepokojem spoglądać na zegar, kiedy zatrzymują kogoś z rodziny, patrzeć z podziwem na swoich rodziców, sąsiadów i ludzi żyjących tu, w Czeczenii, którzy po wszystkich okropnościach wojny niosącej chaos, cierpienia, utratę najbliższych nie oduczili się żartować, wychowywać dzieci i wierzyć w dobro.

Przed wojną mieliśmy mały, ale bardzo wygodny dom. Co wieczór zbierało się u nas całe rodzeństwo mojego taty. Siadywali przy wspólnym stole, na honorowym miejscu zawsze siedziała ich matka (to znaczy moja babcia ze strony ojca), i opowiadali, co widzieli i co przeżyli w ciągu minionego dnia. Ta tradycja nadal jest u nas pielęgnowana, chociaż wojna wiele zmieniła w naszym życiu.

Mam dużą rodzinę. Dziadek ze strony ojca, Usman, miał dwanaścioro dzieci: siedmiu chłopców i pięć dziewcząt. Mój ojciec był ostatnim dzieckiem w tej licznej gromadce. Trójkę dzieci (dwóch chłopców i dziewczynkę) dziadkowie pochowali w Północnym Kazachstanie w rejonie kustanajskim. Tam była deportowana nasza rodzina. Została zesłana razem z innymi Czeczenami i Inguszami. Babcia nam opowiadała, że jej dzieci umarły z głodu. Mówiła też, że razem z nimi na zesłaniu znaleźli się ludzie innych narodowości: Rosjanie, Polacy, mieszkańcy krajów nadbałtyckich, Niemcy.

Zapamiętałem jedno zabawne opowiadanie mojej babci o życiu na obczyźnie. Ich sąsiadem był Niemiec. Nazywał się Adam Boksberger. Każdego ranka, wychodząc do pracy, sąsiedzi, mój dziadek i Adam, dość dziwnie się pozdrawiali. Adam Boksberger, zwracając się do dziadka, mówił z ironią: „Zdrastwuj, bandit”. A dziadek odpowiadał mu z taką samą ironią: „Zdrastwuj, faszyst”.

Pewnego dnia świadkiem tej sceny był komendant wioski, który nadzorował deportowanych. Strasznie się na nich rozżoślił, że pozwalają sobie w jego obecności na takie żarty. Wyjął nawet z kabury pistolet, grożąc, że rozprawi się z nimi za takie gadanie. Ale mój dziadek i Adam tylko mrugnęli do siebie porozumiewawczo. Każdy zaczął się „usprawiedliwiać” przed komendantem. Niemiec mówił: „Za co zesłano Czeczena?” i sam sobie odpowiadał: „Za to, że bandit”. – „A ciebie za co tu przysłali?” – odezwał się dziadek. „Za to, żeś faszyst”. Komendant nie mógł zaprzeczyć takim argumentom, bo każdy z nich został deportowany z takim właśnie oskarżeniem: każdy Niemiec to faszysta, a każdy Czeczen – bandyta.

Komendant poszedł sobie, klnąc ich w żywy kamień, a dziadek i Adam długo jeszcze się z niego śmiali.

I nadal tak się pozdrawiali.

Nie mogłem zrozumieć sensu ich rozmowy i zapytałem babcię, dlaczego to robili – ubliżali sobie na oczach innych. Wyjaśniła mi, że w ten sposób obaj drwili z fałszywego oskarżenia, które wydała na nich oficjalna władza. Mówiła też nam, że wszyscy zesłańcy żyli z sobą zgodnie i wzajemnie sobie pomagali.

W tych surowych i bardzo ciężkich warunkach ludzie nie tracili poczucia humoru, wyrażając przez to swój protest wobec despotycznej władzy.

Powróciwszy w roku 1960 z Kazachstanu, rodzina osiedliła się we wsi Zakan-Jurt w dystrykcie aczchoj-martanowskim. Ale, jak opowiadał mi ojciec, we wsi nie było żadnej pracy. Tak więc po śmierci dziadka, w roku 1970 moi krewni przeprowadzili się do Groznego. Wszyscy wujkowie i ciotki, kiedy pożenili się i wyszły za mąż, osiedlili się w

poobliżu rodzinnego domu. I przed wybuchem wojny w listopadzie 1994 roku we wsi Katajama (1) zajmowali już prawie dwie dzielnice wzdłuż ulic Dunajska i Naftowa.

Początek pierwszej wojny kojarzy mi się ze zrzucanymi nocami z samolotów świecącymi „latarkami”. Następnego dnia rano zbieraliśmy je w ogrodzie, na ulicy, po podwórkach i polach. Niektóre wisiały, zaczepione o gałęzie drzew czy druty elektryczne. Były to miny w kształcie cylindrów przyłączone do małych pomarańczowych spadochronów. Jak nam później wyjaśniono, zrzucanie ich było działaniem psychologicznym, mającym na celu zmuszenie ludności do opuszczenia miasta. (2)

W pierwszych dniach grudnia bombardowania i ostrzały raketowe przybrały na sile, pozostawanie w mieście było coraz bardziej niebezpieczne, więc ojciec wysłał mnie z mamą i młodszym braciszkiem do Szali (3), gdzie mieszkała rodzina mamy. Potem jeszcze kilkakrotnie musieliśmy się przeprowadzać do różnych dzielnic wioski i uciekać przed bombardowaniem czy ostrzałem. Aż wreszcie w połowie kwietnia 1995 roku wróciliśmy do Groznego. Rodzinny dom nie był zbytnio zniszczony i na nasz przyjazd ojciec już go wyremontował. Tato przez cały ten czas pozostawał w mieście wraz z jednym z moich wujków i kilkoma sąsiadami.

Życie w „powojennym” Grozonym było takie jak życie w innych miastach i wioskach Czeczenii: nocami słychać było strzały, wybuchały bomby i pociski. Mimo tego nasi krewni wrócili do domów, gdyż uważali, że lepiej mieszkać na własnych śmieciach, niż poniewierać się wśród obcych.

Przez nasz dom stale przewijali się jacyś goście. Przyjeżdżali z innych miast Rosji, a nawet z innych krajów. Byli to dziennikarze i politycy, naukowcy i działacze religijni - po prostu dobrzy ludzie.

Szczególnie dobrze zapamiętałem Wiktora Popkowa (4). Pierwszy raz przyjechał do nas sam. Moi rodzice wcześniej go nie znali. Ktoś ze znajomych dał mu nasz adres.

Zdziwiliśmy się, gdy pewnego dnia zapukał do naszych drzwi wysoki mężczyzna z długą białą brodą i równie białymi długimi włosami. Był podobny do wiekowego starca z rosyjskich bajek ludowych. Wyglądał jak kronikarz, który zszedł z okładki zabytku literatury staroruskiej *Słowo o pułku Igora*.

Wszedł, przywitał się z nami, kłaniając się przy tym grzecznie domowi i jego gospodarzom. Z opowiadań przybyłszy dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy o nim: jest duchownym i świadczy ludziom dobro. Stara się zaprowadzić pokój w Czeczenii. Wzywa wszystkich walczących do zaprzestania wojny.

Któregoś ranka, kiedy słońce zaczynało dopiero swoją wędrówkę po niebieskim szlaku, zobaczyłem go stojącego koło płotu. W rękach trzymał małą książeczkę. Twarz miał zwróconą w stronę wschodzącego słońca. Czytał coś z tej swojej książeczki, żegnał się i kłaniał. Tak mnie to zaciekawiło, że ośmieliłem się zapytać, co robi. Powiedział mi, że ta książeczka to jego modlitewnik i właśnie odmawia modlitwy. My, muzułmanie, odmawiamy codziennie pięć modlitw. Ja również mam modlitewnik, z którego czytam różne dua (modlitwy) skierowane do Allacha. Wiktor opowiedział nam o swojej rodzinie. Wieczorami razem z bratem słuchaliśmy z wypiekami na twarzy jego rozmów z naszymi rodzicami. To był bardzo ciekawy i dobry człowiek. Nigdy nie słyszałem, by komuś wymyślał. W ogóle mówił bardzo spokojnie i cicho, a na jego twarzy zawsze gościł dobrotliwy uśmiech.

Za którymś razem przyjechał z liczną grupą swoich przyjaciół. Powodem były wybory prezydenta Czeczenii. Było to zimą 1997 roku (5). Ludzie ci przybyli, aby zobaczyć na ile wybory przebiegają prawidłowo, czy nie dochodzi do naruszania prawa. Potem gościli u nas jeszcze parę razy.

Kiedy w roku 1999 zaczęła się druga wojna czeczeńska, Wiktor przyjechał do Nazrania, aby pomagać czeczeńskim dzieciom w górskich aułach.

W górach ludzie żyją bardzo biednie. Nie wszystkie dzieci mogą chodzić do szkoły, bo brakuje im ubrań i butów. Dlatego też Wiktor postanowił im pomóc. Przywoził z Moskwy odzież, obuwie, podręczniki i rozdawał to wszystkim dzieciom we wsiach dystryktu nożaj-jurtowskiego, wedeńskiego i szalińskiego. Opowiadał potem, jak dzieci cieszą z każdej jego wizyty, kiedy przywozi im takie wspaniałe podarki.

Ostatni raz dzwonił do naszej mamy z Chasawjurtu, mówiąc, że kupił ambulans i wiezie pełny samochód lekarstw dla wiejskich szpitali i że potrzebuje dwóch dni, by je porzucić, ale trzeciego dnia pod wieczór postara się być już u nas. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się z telewizji, że niedaleko posterunku blokowego w Ałchan-Kała samochód Wiktora ostrzelano. Zarówno Wiktor, jak i towarzyszący mu lekarz zostali ciężko ranni. Przewieziono go do Moskwy, gdzie zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

Wiktor zginął z rąk bandytów, jakiegokolwiek by byli narodowości i jakimkolwiek językiem by mówili. Był malutkim promyczkiem nadziei dla udęczonego przez wojnę narodu czeczeńskiego. Znali go wszyscy w najdalszych zakamarkach naszej republiki. Piechotą, z sakwą na plecach przedostawał się do nawet najbardziej niedostępnych górskich aułów. Szedł do ludzi biednie ubrani, z twarzą pobożnego człowieka, któremu obce były marność świata. Nie wiem, kim byli ci, którzy podnieśli na niego rękę. Wszyscy, którzy znali tego człowieka do teraz nie mogą wspominać go bez głębokiego smutku.

28 lutego 1996 urodziła się nam siostrzyczka Danija, zdrobniale Dania. Prawie w tym samym czasie do miasta weszli bojownicy (6). Ojciec i cała nasza rodzina musieli dołożyć wszelkich starań, narażając się przy tym na śmiertelne niebezpieczeństwo, aby przywieźć do domu mamę po operacji i noworodka.

W sierpniu 1996 Groznyj drugi raz w ciągu roku został zdobyty przez bojowników (7). Walki w mieście wybuchły z nową siłą. Pozostawanie tutaj stawało się coraz bardziej ryzykowne. Zewsząd leciały pociski, a w dookoła wybuchały miny. W czasie kolejnej ciszy mama razem z maleństwem poszła do domu, aby zabrać najpotrzebniejsze do drogi rzeczy. Położyła Danię na tapczanie i chciała zacząć się pakować. Nie zdążyła nawet otworzyć drzwi szafy, kiedy rozległ się głuchy huk i cały pokój wypełnił kurz. Pocisk nadleciał od strony lotniska „Północny”, uderzył w tapczan i ugrzązł za jego oparciem. Dania nie zdążyła nawet się przestraszyć, miała jakieś pięć miesięcy. Mama złapała malutką i z krzykiem wypadła na ulicę. Nie wiadomo dlaczego, ale na szczęście dla nas wszystkich, pocisk nie eksplodował. Widocznie taka była wola Wszechmogącego – nie zabierać jeszcze naszej siostrzyczce dopiero co rozpoczętego życia.

Ciężko było wydostać się z Groznego. Trzy doby spędziliśmy na posterunku blokowym w Taszkale. Nie przepuszczano transportów, a na pieszą wędrówkę z małym dzieckiem na rękach i chorą babcią rodzice nie mogli się zdecydować. Bo żeby wydostać się z miasta trzeba było pokonać 15 kilometrów. Jednak czwartego dnia wszyscy zdecydowali się wyruszyć (8).

Babcię wyprawiliśmy samochodem razem z wujkiem, któremu udało się przedrzeć przez pole od strony Terskiego Wzgórza. Szliśmy pod osłoną porannej mgły, kiedy jeszcze nie mogły latać helikoptery, i wzdłuż wzgórza kierowaliśmy się w stronę osady Goragorsk, oddalonej jakieś 60 kilometrów od Groznego. Przez całą drogę do wioski Pobiedinskoje rodzice nieśli Danię na zmianę. Ja razem z bratem, licznymi kuzynami i kuzynkami szliśmy asfaltową drogą razem z dorosłymi. Na plecach nieśliśmy tornistry, w których oprócz książek było trochę jedzenia i jakieś zabawki.

Ludzi było bardzo dużo i prawie wszyscy podążali w tym samym kierunku. Rzadko można było zauważyć takich, którzy szli w kierunku przeciwnym, w stronę miasta. Byli to ci, którzy szukali swoich krewnych. W nadziei na spotkanie kogoś z bliskich przedzierali się pod prąd ludzkiego potoku i wpatrywali się uważnie w twarze przechodniów.

Razem z nami szedł starszy mężczyzna. Niósł on na plecach staruszkę przywiązaną do siebie wielką chustą. Co chwilę przystawał, tak jak i my, żeby trochę odpocząć, i ostrożnie przysiadał – tak, by jednocześnie oboje znaleźli się na ziemi, siedząc jeden za drugim. Widocznie była to jego matka lub starsza siostra. A może nawet i obca kobieta...

Kiedyś zrównaliśmy się z mężczyznami niosącymi na noszach siwowłosego mężczyznę. Jeden z nich był w średnim wieku, a drugi zupełnie młody. Jak się później okazało, byli oni synem i wnukiem staruszka. Wnuk miał jakieś 15-16 lat, wołał na niego Uwajs. Uśmiechali się, opowiadając idącym, jak długo dziadek namawiał ich, by zostawili go w domu. Syn, mijając nas, rzekł wesoło do dziadka: „Gdybyś ożenił się z sąsiadką Bajset, kiedyśmy cię o to prosili, moglibyśmy teraz śmiało jej powierzyć opiekę nad tobą”. A dziadek odrzekł im z sarkazmem: „No i teraz dźwigałibyscie dwóch staruchów. Cieszcie się, że taszczyicie tylko jednego”. Wszyscy wokół zaczęli się śmiać. A chcąc mnie i brata podnieść na duchu, zwracając się do nas, dodał: „Patrzcie, jakie tęgie chłopaki, idą sami, a dziada taszcza na cudzym garbie”.

W tłumie było bardzo wielu starszych ludzi, którzy nie mogli iść o własnych siłach. Niesiono ich na noszach, wieziono na wózkach, skleconych w pośpiechu z desek i kół rowerowych. W drodze zaobserwowaliśmy jeszcze jedną bardzo ciekawą scenę. Na posterunkach blokowych znajdowali się rosyjscy żołnierze, a między posterunkami swobodnie przemierzali się czeczeńscy bojownicy. Byli w zasięgu wzroku i wzajemnie obserwowali się przez lornetki i optyczne celowniki. Ale wtedy nie strzelali. To nam się bardzo podobało.

Pod wieczór, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, dotarliśmy do wioski Pobiedinskoje.

Kiedy końcem sierpnia 1996 roku ustały działania wojenne, znów powróciliśmy do siebie. Dopóki nasz dom był odbudowywany, mieszkaliśmy u babci. Przed nastaniem zimy zdążyliśmy wprowadzić się do wyremontowanego budynku, chociaż wiele jeszcze było w nim do zrobienia, ale najważniejsze, że mieliśmy dach nad głową i było ciepło.

Niebawem nadszedł rok 1997. Mała Dania już biegała. W kraju miały miejsce bardzo ważne wydarzenia – wybory prezydenta Czeczenii i wybory do parlamentu. Życie powoli zaczęło się stabilizować. A w rodzinie pojawiła się czwarta pociecha, braciszek Bułat.

Jednak naszym nadziejom na spokojne życie nie sędzone było się ziścić.

Nadeszła jesień 1999 roku. Wojenna jesień, która ciągnęła za sobą długie lata tułaczki po obcych mieszkaniach i podwórkach.

Przyszło nam wiele przeżyć. Od momentu, kiedy we wrześniu 1999 roku dostałem się pod ostrzał raketowy, do chwili, gdy w grudniu 2003 znalazłem się wraz ze swoją klasą w ogniu walki między bojownikami a federalami w centrum Groznego.

W pierwszym przypadku nie spodziewaliśmy się, że samoloty bez uprzedzenia zaczną bombardować miasto, nie dając mieszkańcom możliwości jego opuszczenia. Razem z kuzynem poszliśmy przyznać krowy z pastwiska znajdującego się na skraju naszego przysiółka Katajama. Nagle nad polaną pojawiły się samoloty. Lecią tak nisko, że nie słyszeliśmy warkotu ich silników. Wystrzelone rakiety pędziły ku nam z zawrotną prędkością. Zauważyliśmy je dopiero, kiedy były już nad osiedlem Karpunkij Kurhan. Wydawało nam się, że są one skierowane bezpośrednio na nas. Zdażyłem tylko krzyknąć do Zelika: „Padnij!”. W tej samej sekundzie dwa pociski raketowe z piekielnym wyciem przeleciały nad naszymi głowami i, zderzywszy się z ziemią, wybuchły w odległości 40-45 metrów od nas.

Usłyszałem nieprzyjemny zgrzyt rozrywanego metalu. Miałem wrażenie, że zagłuszył on wszelki inny hałas: eksplozję pocisku czy warkot lecącego nisko samolotu. Ten dźwięk długo jeszcze rozlegał się w mojej głowie. Nie dawało się go wypłoszyć żadnymi innymi odgłosami.

Na skutek wybuchu ziemia zatrzęsała się z taką siłą, że przez chwilę wydawało mi się, iż ucieka spode mnie, a ja zapadam się w jakąś otchłań. Jednocześnie spadł na mnie grad kamieni i gruzu zmieszanego z błotem. Od tych uderzeń w plecy, ręce, nogi i głowę, którą instynktownie osłaniałem rękami, straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie i próbowałem wstać, nie dawałem rady. Byłem przywalony taką ilością ziemi, że musiałem po kolei oswobadzać ręce, nogi, a dopiero później, opierając się rękami i nogami o ziemię, mogłem strząsnąć z siebie resztę gruzu. Tylko tak udało mi się uwolnić. Wyczułem, że ta błotna mieszanina była bardzo gorąca. Jeszcze długo nosiłem na ciele ślady zadrapań i oparzeń, które na dodatek nieprzyjemnie pachniały spalenizną.

Następnego dnia ojciec wywiózł całą rodzinę do Inguszetii, do znajomych. Tutaj też wkrótce przyjechali niektórzy nasi krewni i przyjaciele, gdyż tylko Inguszetia była w tym czasie dostępna dla czeczeńskich uchodźców.

Drugie takie zdarzenie, o którym wcześniej wspomniałem, przytrafiło mi się już po powrocie do domu.

14 grudnia 2003 roku pojechałem z kilkoma uczniami i nauczycielami z naszej szkoły na olimpiadę matematyczną do szkoły nr 41, która znajduje się w centrum Groznego. Po zakończeniu egzaminów chcieliśmy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie przy fontannie na skwerku niedaleko rynku.

Było wczesne popołudnie, na skwerku przebywało wielu spacerowiczów z dziećmi, gdyż to jedyne w naszym mieście miejsce, gdzie można przyjąć odpocząć po pracy czy lekcjach (9).

Kiedy ustawiliśmy się do zdjęcia, nie wiadomo skąd pojawili się biegnący ludzie, prowadzący chaotyczną strzelaninę. Początkowo wydawało mi się, że strzelają do przechodniów. Potem jednak zrozumiałem, że był to pościg za grupą bojowników. Dopędzony przez prześladowców bojownik został powalony na ziemię. W tym momencie zauważyłem w jego ręku granat, który tamci próbowali mu odebrać. Rozległ się wybuch i tumany kurzu zasłoniły zarówno ich samych, jak i nas, stojących w pobliżu. Cały czas trwała bezładna strzelanina i nadal nie można było ustalić, kto do kogo strzela. Z przyzwyczajenia padliśmy na ziemię. Wtedy nastąpiło kilka eksplozji granatów. Kobiety i dzieci próbowały wydostać się z tego ludzkiego kłębówiska. Wykorzystałem niewielką przerwę w wymianie ognia, wyskoczyłem i pobiegłem w kierunku szkoły nr 41, skąd przyszliśmy na skwerek. Obok mnie biegły jakieś kobiety, a trochę z tyłu – kilkoro młodych ludzi. Tymczasem strzelanina na placu rozgorzała z nową siłą.

Jedna z biegnących obok mnie kobiet potknęła się o coś i upadła. Zatrzymałem się, aby jej pomóc. Obejrzałem się też do tyłu i zauważyłem, że kilku ludzi ze skwerku

strzela w naszym kierunku, a biegnący z tyłu młodzi ludzie ostrzeliwują się z pistoletów. Pomogliśmy kobiecie wstać, a potem uciekając, wpadliśmy za uliczny stragan, a stamtąd, nie zatrzymując się, pędziliśmy dalej, aż na podwórko wspomnianej już szkoły. Po upływie około czterdziestu minut, kiedy strzelanina już ucichła, zaczęliśmy powoli wychodzić z różnych podwórek i zaułków i wróciliśmy do domu. Dzięki Bogu nikogo z naszych uczniów ani nauczycieli nie drasnęła żadna kula czy odłamek. Prawda, byliśmy potwornie brudni, jakby przeciągnęli nas przez kominy pełne sadzy, ale bardzo szczęśliwi i dziękowaliśmy Najwyższemu, że i tym razem nas ustrzegł.

Okazuje się, że do szczęścia potrzeba niewiele: wystarczy tylko świadomość, że jeszcze żyjesz.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Katajama – zamieszkały masyw w staropromysłowskiej dzielnicy Groznego, nazwany tak na cześć lidera japońskiej partii komunistycznej Sena Katajamy (1858 – 1933).

<!--[if !supportLists]-->(2) <!--[endif]-->Pociski oświetlające wykorzystywane były nie tylko jako forma psychologicznego oddziaływania, ale głównie dla oznaczenia celów ostrzału artyleryjskiego i bombardowania.

<!--[if !supportLists]-->(3) <!--[endif]-->Szali – centralny dystrykt na południowy wschód od Groznego.

<!--[if !supportLists]-->(4) <!--[endif]-->Wiktor Aleksiejewicz Popkow (1946-2001) – geolog, w latach 90 działacz ruchu ochrony praw człowieka, dziennikarz, nowicjusz klasztoru staroobrzędowców. Prowadził zakrojoną na szeroką skalę działalność humanitarną w strefach poradzieckich konfliktów zbrojnych: w Nagornym Karabachu, Abchazji i Czeczenii. W czasie pierwszej wojny czeczeńskiej dzięki jego staraniom uwolniono dziesiątki rosyjskich jeńców wojennych. W czasie drugiej wojny dostarczał pomoc humanitarną ludności cywilnej, zamieszkującej głównie tereny górskie. Został śmiertelnie ranny przez bandytów w wiosce Atchan-Kała 18 kwietnia 2001 roku.

Zob.: www.viktorpopkov.narod.ru.

<!--[if !supportLists]-->(5) <!--[endif]-->Wybory prezydenckie i parlamentarne w Czeczenii miały miejsce 27 stycznia 1997 roku. Już w pierwszej turze na prezydenta został wybrany Asłan Maschadow.

<!--[if !supportLists]-->(6) <!--[endif]-->Bojownicy pod naczelnym dowództwem Rusłana Giełajewa weszli w południowe rejony Groznego 6 marca 1996 roku i zostali tam aż do 8 marca.

<!--[if !supportLists]-->(7) <!--[endif]-->Bojownicy weszli do Groznego 6 sierpnia 1996 roku i zablokowali siły federalne w garnizonach, budynkach i na posterunkach blokowych; rozpoczęły się walki.

<!--[if !supportLists]-->(8) <!--[endif]-->Rodzina Maksyma Isajewa wychodziła z Groznego w kierunku północno-zachodnim szosą staropromysłowską.

<!--[if !supportLists]-->(9) <!--[endif]-->Jedyny odbudowany plac w centrum Groznego, skąd prowadzone są zwykle reportaże telewizyjne

Historia dla moich dzieci

Łarisa Ajubowa (Grozny)

Tę pracę napisała studentka. Niemniej postanowiliśmy dołączyć ją do zbioru.

Tak oto zaczyna się moja historia. Nie będzie to historia wesoła, chociaż znajdzie się w niej parę jaśniejszych momentów, które pragnę ocalić od zapomnienia, gdyż są przebłyskami normalności wśród ruin mojego istnienia.

Kiedy zaproponowano mi, żebym napisała o swoim życiu, przyłapałam się na myśli, że nie bardzo mam na to ochotę. Znów przyjdzie mi się zanurzyć w morzu łez i krwi, a może i bagna, które zaczyna wsysać, gdy tylko się w nie wejdzie i trzeba potem wiele wysiłku, aby się z niego wydostać. Trudno jednak się nie pobrudzić i żyć dalej beztrosko. Dlatego też my, dzieci Czeczenii, staramy się nie oglądać za siebie, inaczej nie można by dalej żyć.

U nas, w Czeczenii, zwykle jeśli opowiada się o jakimś wydarzeniu, czasowymi odnośnikami są wojny, mówi się: „Było to po pierwszej wojnie...” lub „Przed drugą wojną...” Tak więc przed pierwszą wojną ja, Łarisa Ajndijewna Ajubowa, mieszkałam w Grozным. Mieszkałam wprawdzie niedługo, wszystkiego dwa lata, tak że prawie nie pamiętam Groznego bez ruin. Przedtem mieszkałam w Czerepowcach, w okręgu wołogodzkiem. Na mapie moich wspomnień miejsce to rysuje się ciemną, mroczną plamą...

Przyprowadziliśmy się do Czerepowców, kiedy miałam trzy lata. Rodzice dopiero co skończyli studia (studiowali w Kołomnie na wydziale filologicznym) i nie mieli środków, by urządzić się w wymarzonym Grozным, a nie chcieli mieszkać na wsi.

W Czerepowcach mieszkała moja ciocia i ona to zaproponowała rodzicom, byśmy do niej przyjechali, więc tak oto znaleźliśmy się w tym mieście. Wydawało się, że czas tam stoi w miejscu, ciągle się nudziłam, a jedyne szczęśliwe chwile przeżywałam wtedy, gdy przyjeżdżaliśmy w rodzinne strony. Czemu w Czerepowcach tak mi się nie podobało? W szkole mocno dawano mi odczuć, że jestem przyjezdna. Moje nazwisko za bardzo odznaczało się na tle tych wszystkich Pietrowów czy Sidorowów. Nauczyciele, niby to przez pomyłkę, błędnie je wymawiali, co w klasie zawsze wywoływało rozbawienie. No i w ogóle, dziewczyna niewiadomo jakiej narodowości: ni to Cyganka, ni Czuczka. Tak oto wyglądał mój status. Byłam tym bardzo skrępowana i zachowywałam się jak trusia – tak też w klasie mnie przezywano.

W Czerepowcach mieszkaliśmy prawie jedenaście lat. Potem wróciliśmy w ojczyźne strony. Było to najszczęśliwsze wydarzenie w moim życiu! Od razu mi się tu spodobało.

Pierwsze wrażenie, jakie wywarł na mnie Grozny, to poczucie, że to *nasze* miasto, *nasi* ludzie. Ale niedługo cieszyliśmy się powrotem. Zaryzykuję stwierdzenie, że najlepsze lata zostały po prostu wykreślone z mojego życia. I nigdy nikt nie zwróci ich ani mnie, ani moim rówieśnikom.

Listopad 1994 roku na długo zostanie w mojej pamięci (1). Na moją republikę, mój kraj ojczysty, przyszło to, co najpotworniejsze na naszej planecie, co pokazują w filmach, o czym opowiadają w książkach, to, co wydawało się, że nigdy nie może się przydarzyć ani mnie, ani tam, gdzie mieszkam. A jednak to nadeszło i nikt nie mógł temu zapobiec.

Przywieziono nas do Aczchoj-Martanu (2), rodzinnej wioski mojej mamy. Jeżeli do tej pory uważano nas tu za gości, to teraz traktowano jak uchodźców. Jeśli zastanawiam się, jak długo już zmagam się z losem tułacza, wydaje mi się, że zostanę dożywotnim uchodźcą, że przywykam już do koczowniczego trybu życia jak Cyganie. Ale mimo wszystko mam nadzieję, że kiedyś to się skończy, chociaż nadzieje na spokojne życie tak często się niweczą, że nigdy nie mówimy o swojej przyszłości z pełnym przekonaniem.

Z Aczchoju przyszło nam jechać do Machket (3), wioski, gdzie przyszedł na świat. Dawniej rzadko tu bywałam, ale teraz miałam okazję bliżej poznać się z tym miejscem w „sprzyjających okolicznościach”. Czas spędzałam głównie nad książkami. Bardzo lubiłam czytać powieści przygodowe, a wprost uwielbiam dzieła Henriego Rajdera Chaggarda *Córka Montesuma* i *Dzieci mgły*. Z ich bohaterami mogłabym wszędzie podróżować! Niestety, była wojna, chociaż staraliśmy się nie zwracać uwagi na to wszystko, co się wokół nas działo. Pragnęliśmy za wszelką cenę żyć! Niekiedy tak chciałoby się pośmiać! Nieraz dorośli ganią nas za to, że jest nam zbyt wesoło. To przykre. Zastanawiamy się, dlaczego oni nie mogą nas zrozumieć, przecież tak mało radości przypadło w udziale naszym czasom, jesteśmy już zmęczeni wiecznym smutkiem i cierpieniem!

W Makchetach też nie cieszyliśmy się długo spokojem. Którejś nocy samoloty zaczęły nas bombardować (4). Bomby spadały bardzo blisko i jak zwykle pierwszą reakcją była myśl: biegiem do piwnicy. Nasza piwnica była bardzo zimna – te pomieszczenia buduje się przecież, aby przechowywać w nich głównie żywność, a nie ludzi. Bardziej nadawała się do tego piwnica sąsiadów, więc tam szukaliśmy schronienia. Dobrze pamiętam te chwile. Była ciemna noc, bieglśmy po omacku. Wprawdzie sąsiedzi mieszkali bardzo blisko, ale droga wydawała się niezmiernie długa.

Chyba najciężej było mężczyznom. Oni powinni strzec naszego spokoju, im nie przystoi paniczna ucieczka. Niezwykle trudno jednak uspokajać innych, kiedy jest się samemu w tragicznym położeniu.

Atak bombowy nie ustawał. W małej piwnicy siedziało około 30 ludzi, co chwilę rozlegał się lament kobiet i płacz dzieci. Przeczytano chyba wszystkie modlitwy, jakie tylko przewiduje islam.

Wydawało się, że nalot nigdy się nie skończy. Jak dowiedzieliśmy się później, bombardowano pobliski kurort.

Nie wiem, co zawiniło im to uzdrowisko, być może podejrzewano, że znajduje się tam baza bojowników, których w tym czasie nawet nie było w pobliżu (5). Potem zaczęły się również ataki na wioskę. Wtedy starszyzna zdecydowała, że pora stąd wyjeżdżać. Kiedy tylko zaczęło świtać, zabraliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i załadowaliśmy się na kamaza naszego wujka. Razem z nami jechało wielu krewnych, więc w przyczepie było strasznie tłoczno. Trudno było to wytrzymać – ubrani w co popadnie, z przerażeniem na

twarzą, całą drogę znosiliśmy płacz dzieci. Byliśmy tak ściśnięci, że chwilami wydawało mi się, że się duszę.

Żeby dostać się do Rejonu Nadterecznego, musieliśmy najpierw przejechać przez Republikę Dagestańską, co zabrało nam całą dobę. Jechać główną trasą było bardzo niebezpiecznie, więc podążaliśmy jakimiś okropnymi bocznymi drogami. W pewnym momencie poczuliśmy, że samochód się przechylił, ale nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Przed nami jechał autobus, w którym siedziała ciocia i przez okno obserwowała nasz kamaz. Widziała przez moment, jak niebezpiecznie zawisł nad przepaścią, w którą o mały włos nie runął. Cioci zamarło serce, ale my byliśmy nieświadomi tego, co nam groziło.

W stacji Kalinowskaja mieszkaliśmy prawie miesiąc. W tym czasie w Grozным wszystko powoli się stabilizowało, zapadła więc decyzja o powrocie. Jechaliśmy koleją (7). Kiedy wyszliśmy z dworca, zdawało nam się, że znaleźliśmy się w obcym mieście. Wysokie, nadpalone domy wyglądały jak upiorne zjawy. Widok ruin robił niesamowite wrażenie, można jednak do tego przywyknąć tak samo, jak do wybuchów, chociaż wymaga to sporo wysiłku. Myślę, że nie przestraszę się już nawet najsilniejszej detonacji. Jak to się mówi, człowiek do wszystkiego się przyzwyczai.

Na szczęście nasze mieszkanie ocalało, chociaż i w nie uderzył pocisk. Jeden pokój był spalony. Cieszyliśmy się jednak, że w ogóle istnieje, więc niezbyt przejmowaliśmy się jego stanem. Szkoła również nie ucierpiała zbyt mocno.

Powinno być chodzić do dziewiątej tej klasy. Przed wojną nieraz nie chciało nam się iść do szkoły czy odrabiać lekcji, ale teraz wszystko się zmieniło. Z wielkim zapałem zabraliśmy się do nauki, zacieśniły się też wzajemne przyjaźnie. Ta wojna tak jakoś nas zespoliła.

Tego lata pojechaliśmy na wakacje do Nalczyka. Po tym, co przeżyliśmy, pobyt tam wydawał się nam bajką. Łaziliśmy po górach, urządzaliśmy pikniki nad rzeką, zwiedzaliśmy miasto. Tę samą rzekę i te same góry mieliśmy przecież u siebie, ale nie wiedzieliśmy, kiedy znów będziemy mogli spokojnie się po nich poruszać. Nasze lasy i góry były teraz „naspikowane” wszystkimi rodzajami min i pocisków. Kiedy człowiek patrzy na takie miasta jak Nalczyk, wspomina, jakie było kiedyś nasze miasto. Gdyby nie było wojny, można sobie wyobrazić, jakby teraz rozkwitało.

Po dwóch latach skończyłam szkołę i trzeba było się zdecydować, jaki wybrać zawód. Tylko modele odzieży były mi w głowie i robiłam różne szkice, które umieszczałam w albumie. Interesowałam się tym już od dzieciństwa, szyłam ubranka dla lalek, a moje fasony wszystkim bardzo się podobały.

Kiedyś babcia nazwała mnie „małą artystką-modelatorką”. Ta nazwa utkwiała mi w pamięci. Ale, jak stwierdziła moja mama, to niezbyt poważne, ot, taka dziecięca fantazja. Niestety, w Grozным nie było takiej uczelni, gdzie chciałabym pójść, a nie było nawet co marzyć o wyjeździe. Najbardziej zabraniali mi tego rodzice, którzy kiedyś sami studiowali w Rosji.

W Moskwie mieszkała ciocia. Znając moje zdolności, przyjechała do nas specjalnie, żeby przekonać rodziców, by pozwolili mi zamieszkać u niej i zdawać na wydział przemysłu lekkiego. Rodzice mnie jednak nie puścili. Mama przypominała, że zawsze miałam problemy z chemią, a to główny przedmiot na tym kierunku. No cóż, chemia była moją piętą Achillesową. Teraz myślę, że jeśliby rodzice zgodzili się na wyjazd, moje marzenia i pasje pomogłyby mi w nauce.

W gruncie rzeczy mama po prostu chciała, abym została lekarzem. Tato natomiast uważał, że iść na medycynę wbrew chęciom, to przestępstwo, natomiast marzył, żebym zdawała na prawo. Widział już swoją córeczkę jako prawnika – adwokata lub notariusza...

Nasz bal maturalny, jak na złość, przebiegał niezbyt miło. Pod oknami odbywał się sąd szariacki (8), co nie pozwalało nam normalnie się bawić. A obmyśliłam sobie taką wspaniałą kreację! Z błękitnego atlasu, wszyscy ją podziwiali.

Dwa dni po tak zwanym komersie spotkałam znajomą dziewczynę, która studiowała anglistykę na wydziale filologicznym. Dowiedziałam się od niej, że na naszym uniwersytecie jest też romanistyka. Wcześniej nie zastanawiałam się nad studiami językowymi. Francuski zawsze mi się podobał, uważam, że jest to język świata mody, czyli tego, co w rzeczywistości najbardziej mnie interesuje.

Zaczęłam więc studiować na uniwersytecie, na wydziale języków obcych.

Od razu mi się tutaj spodobało, wszyscy byli bardzo mili i towarzyscy. Studia okazały się niezwykle ciekawe. Mieliśmy wspaniałych wykładowców. Wszystko mogło się więc potoczyć pomyślnie, gdyby nie wojna. Nie mogłam uwierzyć, że znów się zaczęła.

Rok 1999 to powtórka znanego scenariusza (9), ale z jeszcze większą siłą. Nawet wtedy, gdy zaczęło się bombardowanie miasta, miałam ciągle pewne nadzieje. Jakbyśmy za mało napatrzili się na okropności w czasie pierwszej wojny! Jeżeli tę pierwszą można było jakoś znieść, to druga była już nie do zniesienia. Może też dlatego, że stałam się już dorosła i bardziej uświadamiałam sobie, co się dzieje, a może ta wojna była jeszcze bardziej okrutna niż poprzednia? Tragedia, niekończąca się tragedia. Wyjechałam do Inguszetii (11), ale serce, dusza i część mnie pozostały w Groznm. Pozostały, gdyż pozostało tam wielu bliskich mi ludzi i mając tego świadomość, nie mogłam zaznać spokoju. „Biedne pacany!, myślałam. Czyżby odechciało wam się żyć, na co wam takie bohaterstwo?” Ale oni po prostu kochali swoje miasto, dla nich nic innego się nie liczyło i zostali, by je bronić. Wraz ze śmiercią każdego z nich coś się we mnie urywało, wydawało mi się, że świat się wali, a ja zapadam się w jakąś otchłań. Nie mogłam oglądać telewizji, nie mogłam patrzeć na to wszystko, co pokazywali w „Wiadomościach”, to było ponad moje siły. Nie mogłam też wychodzić na spacer, bo nie potrafiłam znieść, że ludzie tak beztrudnie spacerują sobie po mieście, że cieszą się życiem.

Może to nieładnie, ale gdziekolwiek bym pojechała, wszędzie prześladowały mnie myśli: „w czym jesteśmy gorsi od innych?”, „za co to wszystko?”.

W małgobekowskim (12) parku zbierały się czeczeńskie dzieci; dla nich huśtawki, karuzele były czymś nowym, niespotykanym. Kiedy patrzyłam na nie, pragnęłam, żeby miały przynajmniej beztrudne dzieciństwo, ale go nie miały. Wszyscy byliśmy „dziećmi wojny”.

Po paru miesiącach przyjechaliśmy do Aczchoj-Martanu w nadziei, że przynajmniej tu będzie nieco bezpieczniej. Dziadek zmartwił się naszym powrotem. Pewnej nocy, kiedy zaczęło się bombardowanie (13), on tak się o nas bał, że przyplącił to życie. Rano już nie wstał z łóżka, chociaż do tej pory był zupełnie zdrow. Przeleżał cały dzień, pod wieczór znacznie mu się pogorszyło. Zmarł w nocy, dosłownie zgasł na naszych oczach. Zdawało mi się, że i ze mną coś się stanie, że chyba oszaleję. Ludzie ginęli, umierali, a nie było dokąd od tego uciec, ani znikąd oczekiwać pomocy. Śmierć przychodziła tak po prostu, zwyczajnie i nic nie mogło jej w tym przeszkodzić. W ciągu tej pamiętnej nocy wyrosłam o kilka lat. Wydawało mi się, że zostałam wyżęta z wszelkich uczuć. Chciałam jedynie umrzeć. Jeżeli do tej pory nie chciałam wierzyć, że pozostający w Groznm ludzie mogą stracić życie, to teraz już byłam tego pewna. Nadzieje okazują się bardzo złudne.

Pewnego dnia bardzo bolała mnie głowa. Im mocniej mnie bolała, tym bardziej pragnęłam zapaść się w niebyt. Wtedy przez chwilę pozazdrościłam narkomanom. Był to moment rozpacz, w którą zwykle wpada się w takich chwilach. Co począć? Tłumić nienawiść? Czy stać się bezdusznym obłudnikiem? Zrozumiałam wtedy naszych chłopaków, którzy „siedzieli na igle”. A stale ich przybywało, z każdym dniem. Mieli do wyboru: iść na wojnę, albo dać się unicestwić narkotykom.

Wówczas z Nazrania przyjechał mój wujek i postanowił zabrać mnie z sobą. Widocznie rozumiał, w jakim jestem stanie i chciał mnie trochę rozerwać.

U nich nie czułam się jednak lepiej. Spokój i beztraska otoczenia stale przypominały mi minione dni. Jedyne przyjemne chwile przeżywałam, gdy spotykałam znajomych. Wspominaliśmy przeszłość, ale o tych, którzy pozostali w Groznym, staraliśmy się nie rozmawiać, nie chcieliśmy pogarszać sytuacji, która i bez tego była napięta.

Kiedyś jechaliśmy autobusem do Małgobeku. Przy wyjeździe z Nazrania była aleja, która zawsze przypominała mi aleję, biegnącą niedaleko naszego domu w Groznym (bardzo lubiłam tamtędy jeździć). Nagle usłyszałam piosenkę grupy DDT Jesień: „Jesieni, ty przypominasz sercu o najważniejszym: o losie naszej ojczyzny i naszym” – tak śpiewał Szewczuk o tej jesieni, która przyszła do nas wraz z wojną i zostawiła nas bez odpowiedzi na pytanie: co się z nami stanie? Śpiewał, sam nie podejrzewając, jak głęboko rani czeczeńskie serca. Wątpię, by ta rana prędko się zagoiła – jest przecież taka głęboka...

Latem nastąpił kres działań wojennych. Był rok 2000. Wróciliśmy do Groznego. Byłam szczęśliwa, wracając tutaj, przecież im bardziej nasze miasto obracało się w ruinę, tym mocniej je kochaliśmy. Niechby nie było tu warunków do życia, my to wytrzymamy, niechby cały Grozny pokrył się kurzem, my jesteśmy gotowi go połykać, dla nas słodki jest – jak to się mówi – „i dym Ojczyzny”.

Wracałam, a w głowie rozbrzmiewała mi piosenka Timura Mucurajewa (14), którego tak lubiliśmy: „*Patrzę na surowy monolit mojego miasta. Patrzę i piersi ściska mi ból na widok smutnych ruin*” *. „Miasto Grozny, miasto marzeń i niespełnionych nadziei”. Czemu znów używam wersów piosenki, zamiast mówić własnymi słowami? Chyba tak jest, gdy dotykamy wielkiego tematu. Wtedy wszyscy mówimy jednym głosem, często językiem poezji. Timur chodził ze mną do tej samej szkoły, spacerowaliśmy tymi samymi alejami i kto, jak nie on, wie, co dzieje się w moim sercu, gdy widzę swoje miasto! Teraz Grozny był martwy.

Tego lata poszłam na uniwersytet, aby uporządkować nieco ten przybytek wiedzy. Przyjemnie było wrócić na swoją uczelnię. Przybyli tylko nieliczni i trudno było uwierzyć, że ludzie kiedyś zaczną tu wracać.

W drodze powrotnej spotkałam jednego ze swoich przyjaciół, któremu niedawno zabito brata, więc chciałam złożyć mu kondolencje. Dobrze znałam tego brata, o jego śmierci dowiedziałam się jeszcze w Inguszetii (był to dla mnie wielki wstrząs). Podeszłam do niego, ale gdy próbowałam coś powiedzieć, oczy przestoniły mi łzy, a słowa ugrzęzły w gardle. Wtedy zauważyłam, że z nim dzieje się to samo, tylko że on nie mógł płakać. Płacz nie przystoi Czeczenom, więc musiał znosić niewypowiedziane katusze, żeby nie okazać słabości. Nie mógł jednak długo się powstrzymać, zrozumiałam więc, że powinnam szybko się pożegnać. Brat był pełen radości życia, szedł na wojnę jak na jakąś tajemniczą, zagadkową wyprawę; nie miał jeszcze nawet osiemnastu lat.

Jak wielkie było moje zdziwienie, kiedy poszłam we wrześniu na uniwersytet. Uczelnia była pełna po brzegi. Zaczął się nowy rok akademicki, ale z naszej grupy nikt nie wrócił. Moja najlepsza przyjaciółka wyjechała na stałe za granicę, zostałam więc sama jak palec. Ale chyba Allah mnie kocha, bo przysłał mi nowych, wspaniałych ludzi. Poznałam dziewczynę z grupy niemieckiej – Asię. Zaprzyjaźniłyśmy się od razu i obie czułyśmy, że będzie to przyjaźń silna i trwała. Asia nie tylko jest człowiekiem godnym zaufania, ale ma też mocny charakter i ta siła od niej promieniuje. Później poznałam jeszcze dwie Milany. Otaczali mnie zatem wierni przyjaciele. Przyjaźń – to rzecz bardzo ważna w życiu. Jeśli człowiek ma wypróbowanych przyjaciół, to życie staje się łatwiejsze.

Zajęcia odbywały się, ale niesystematycznie, często przepadały z powodu ostrzału czy też przeprowadzanych „zaczystek”. Przyszło nam więc wiele przeżyć! Prawie codziennie ktoś ginął i nierzadko wśród zabitych byli nasi znajomi. Milana, jedna z moich przyjaciółek, spotykała się z chłopakiem. Mieli poważne zamiary. On był wesołym, pogodnym człowiekiem. Trudno sobie było wyobrazić jego nieobecność w naszej kompanii. Kazbek stawał często na środku uczelnianej kawiarenki i głośno żartował: „Ja już tu wszystko wykupiłem”.

Stało się to któregoś ranka. Przyszedł jego brat i po prostu powiedział: „Kazbeka zabito.” W tym momencie stałam odwrócona tyłem i poczułam, że nie mogę się ruszyć, ani nawet obejrzeć. Lepiej, żebym ogłuchła, by nie słyszeć tych słów. Niestety, jeszcze wiele okropności miały usłyszeć moje uszy.

Pobyt na uniwersytecie stawał się nie do zniesienia. Wszystko tu przypominało Kazbeka. Kiedy wchodziło się do naszej kafejki, od razu rzucały się w oczy ogromne czarne litery „Kazbek, ty już tu wszystko wykupiłeś”.

Ogromnymi czarnymi literami zapisaliśmy też słowa wiecznej pamięci i żalu po naszych braciach nie tylko na ścianach, ale przede wszystkim w naszych sercach. Tam napisy nigdy się nie zetrą.

My, Wajnachowie, jesteśmy silnym narodem. Cokolwiek by z nami robili, nasz duch zostanie niezłomny. Wierzymy, że nasza Czeczenia odrodzi się, jak feniks z popiołu.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->26 listopada 1994 roku Grozny zaatakowały oddziały antydudajewskiej opozycji. Atak został odparty, pojazdy pancerne spalone lub przechwycone, dziesiątki rosyjskich żołnierzy dostało się do niewoli. Tak zaczęła się „pierwsza wojna czeczeńska”. Początkiem grudnia na Grozny spadły pierwsze bomby. Chyba właśnie w tych dniach rodzina Sarisy opuściła miasto.

<!--[if !supportLists]-->(2) <!--[endif]-->Centrum tego dystryktu znajduje w zachodniej Czeczenii, w jej nizinnej części (jak zwykle się tu mówić – na płaszczyźnie). Przemieszczająca się w kierunku Czeczenii trasą Rostow – Baku, od strony Północnej Osetii kolumna wojsk federalnych została zatrzymana 12 listopada przez mieszkańców wioski Nowy Szaraj, nieco na północ od Aczchaj-Martana. Prawdopodobnie wtedy rodzina Sarisy opuściła Aczchaj.

<!--[if !supportLists]-->(3) <!--[endif]-->Wioska znajduje się w górzystym rejonie wedeńskim, na południowym wschodzie Czeczenii. Wjazdem głównego bohatera do „nieprzyjaznego aulu Machket” zaczyna się „Hadzi-Murat” Lwa Tołstoja. W aule

Machket rozgrywa się też akcja filmu „Jeniec Kaukazu” w reżyserii Siergieja Bodrowa.

<!--[if !supportLists-->(4) <!--[endif-->Bombardowania tego regionu trwały z przerwami od końca grudnia 1994 roku do początku czerwca 1995. Rodzina Łarisy wyjechała z Machket najpewniej w połowie maja, kiedy rozpoczęły się już zmasowane naloty na powiat wiediński.

<!--[if !supportLists-->(5) <!--[endif-->To prawda, bojownicy dość często zakładali swe bazy w ośrodkach wypoczynkowych i kurortach górskich. W czasie bombardowań ucierpiało wielu mieszkańców okolicznych wiosek.

<!--[if !supportLists-->(6) <!--[endif-->Położony na północnym zachodzie Czeczenii dystrykt nadtereczny uważany był za ostoję antydudajewskiej opozycji. Tutaj nie było działań wojennych ani zniszczeń.

<!--[if !supportLists-->(7) <!--[endif-->Połączenie kolejowe z Groznym zostało przywrócone latem 1995.

<!--[if !supportLists-->(8) <!--[endif-->„Szariackie prawodawstwo” zaczęto wprowadzać w Czeczenii na przełomie lata i jesieni 1996. Jednak w praktyce „kodeks szariacki” tworzył dziwaczną mieszankę prawa islamskiego, zwyczajowego (adatu) i kodeksu karnego z czasów ZSSR. W życiu codziennym sądy szariackie skazywały np. spożywających alkohol na czterdzieści batów (jednak spirytus „dla celów medycznych” zawsze był dostępny na rynku). W szkole z programu nauczania wycofano taki przedmiot jak rysunki – zabroniono rysowania postaci ludzkich. Szarlat nie ominął też biologii, z której wyrzucono teorię Darwina. Islamscy radykałowie próbowali zakazać w szkołach obchodzenia radzieckich świąt, np. noworocznej choinki.

<!--[if !supportLists-->(9) <!--[endif-->Autor ma widocznie na względzie następstwa: bombardowania, wprowadzenie do republiki wojska, wyjście uchodźców, walki uliczne.

<!--[if !supportLists-->(10) <!--[endif-->Pierwszy nalot na Grozny miał miejsce 21 września 1999.

<!--[if !supportLists-->(11) <!--[endif-->Prawdopodobnie nie później niż 20 września, gdyż autor nie wspomina o, poprzedzonym masową zagładą ludności cywilnej, ostrzale raketowym miasta 21 października i następujących po nich bombardowaniach. Od 23 października aż do końca miesiąca, wyjazd uchodźców z Czeczenii do Inguszetii był wstrzymany, drogi były intensywnie bombardowane.

<!--[if !supportLists-->(12) <!--[endif-->Małgobek – miasto powiatowe na północy Inguszetii.

<!--[if !supportLists-->(13) <!--[endif-->W pierwszych dniach lutego 2000 roku, kiedy bojownicy wychodzili z Groznego w góry przez wioski Ałchan-Kała, Zakan-Jurt, Szaami-Jurt, Katyr-Jurt, Gechi-czy, siły federalne próbowały ich tam zatrzymać i zniszczyć. Szczególnie silne uderzenia, z zastosowaniem amunicji „próżniowej” – pocisków i bomb – skierowane były na wioski Aczchoj-Martan i Katyr-Jurt, gdzie zginęło ok. 150 cywilów, którzy nie zdążyli z nich uciec.

(14) Timur Mucurajew – jeden z bardziej znanych czeczeńskich autorów tekstów piosenek i ich wykonawca, zginął. Wiele jego pieśni, stylem i tonacją bliskich folklorowi rosyjskiemu, jest poświęconych tematyce wojennej, walce o niezależność.

* Tłumaczenie Przemysława Bogusza

Pod bombami

Ajzan Dzuchajewa, Grozny, szkoła nr 27, klasa 9

Przed wojną mieszkaliśmy na osiedlu Leninowskim koło przystanku „Baza samochodowa”, blok 3, mieszkania 18.

W czasie wojny wszystko nam spłonęło i przeprowadziliśmy się na osiedle Staropromysławskie do 15. dzielnicy (1). Tu zaczęłam uczyć się do pierwszej klasy szkoły nr 27, gdzie nadal się uczę.

W roku 1994 po zakończeniu wojny, w której wycierpieliśmy tyle okropności, nie myślałam, że mojemu narodowi przyjdzie przeżywać jeszcze straszniejszą wojnę.

Stało się to w roku 1999. Byliśmy na zajęciach w szkole. Lekcję przerwał niespodziewany warkot samolotu. Ze strachu poczułam biegające po plecach mrówki. Przez głowę przemknęła mi myśl: czyżby znów wojna? Miałam rację, wojna! To było potworne. Po kilku minutach samoloty zaczęły bombardować Grozny. Od wybuchu bomb drżały ściany szkoły. Dzieci zaczęły płakać, bojąc się o rodziców, i chciały jak najszybciej biec do domów. Ja też truchlałam ze strachu o mamę i tatę. W głowie tłukła się tylko jedna myśl – dostać się do domu, do rodziców.

Do domów odprowadzali nas nauczyciele. Kiedy zobaczyłam moich rodziców, całych i zdrowych, do oczu napłynęły mi łzy.

Ale najstraszniejsze miało dopiero nadejść. Na drugi dzień ludzie zaczęli masowo opuszczać osiedle, zostało może jakieś pięć, sześć rodzin. Nasza również nigdzie nie wyjechała. Była z nami jeszcze ciocia Chazan. Samoloty nadal bombardowały miasto, płonęły szyby naftowe.

Brat i ja byliśmy przerażeni, nie wiedzieliśmy, gdzie się schować. Na szczęście, mamy na osiedlu schron przeciwlotniczy. Kobiety, które zostały, doprowadziły go do porządku. Mąż mojej cioci, Rusłan, zmontował piec. Paliliśmy w nim drewnem, które rąbali chłopcy.

Spaliśmy wszyscy w schronie, bo nocami ostrzał był najmocniejszy. Pewnego ranka wyszliśmy ze schronu i poszliśmy do mieszkania. Tato rozpałił w piecu, a mama zaczęła przygotowywać śniadanie. Nagle rozległ się wystrzał, nad nami zaświstał pocisk i usłyszeliśmy silny wybuch. Ze strachu zaczęłam krzyczeć, fala uderzeniowa przewróciła mnie na podłogę. Mama szybko zaczęła ubierać brata, a po chwili, pod świszczącymi pociskami, biegliliśmy znów do schronu. Pobliski wybuch obsypał nas ziemią. Dobiegliliśmy do naszej kryjówki, ale grzmoty nie cichły. Kobiety i dzieci płakały, ktoś zaczął czytać modlitwy, w których prosiliśmy Allacha o ocalenie nam życia. Kiedy to wspominam, oczy zawsze zachodzą mi łzami, a serce ścisiska strach. Mogliśmy przecież zginąć.

Przez dwa dni nie potrafiliśmy opuścić naszej kryjówki, dookoła rozlegały się wybuchy.

Ale najstraszniejsza była noc z 11 na 12 grudnia 1999 roku (2). Na dworze było zimno, spadł śnieg. Kiedy wracaliśmy na noc do schronu, zaczęło się bombardowanie. Trwało ono całą noc. Ściany naszej kryjówki trzęsły się od wybuchów. Trójka chłopców nie zdążyła dobiec do schronu, dwoje z nich zostało rannych i przyszli później, ale trzeci z nimi nie wrócił. Znalezione go dopiero pod wieczór następnego dnia. Leżał pod strzaskaną pociskiem sosną. Achmed jeszcze oddychał. Mężczyźni z trudem zdobyli samochód, ale nie dowieźli już chłopaka do szpitala. Zmarł po drodze.

Kiedy powiedziano matce o jego śmierci, rozegrała się scena rozdzierająca serce. Tamusja – mama zabitego Achmeda – zaczęła krzyczeć, płakać i rwać włosy z głowy. Patrzyliśmy na ból kobiety, która w ciągu jednego miesiąca straciła męża i syna. Mąż Tamusji, Achjad, zginął w czasie bombardowania 9 listopada 1999 roku.

Po tej strasznej nocy próbowaliśmy wyjechać, ale za każdym razem nas ostrzeliwano i musieliśmy zawracać.

W końcu, kiedy został otwarty ostatni korytarz (3), było to 7 stycznia 2000 roku, udało się naszej rodzinie opuścić Grozny. Mama, ja, brat Chamzat i trzyletnia siostra Zariema, przywiązawszy do kijów białe podkoszulki, szliśmy drogą w kierunku rodzinnej wsi Keń-Jurt w dystrykcie nadterechnym. Dzielili ją od nas 34 kilometry. Na dworze był mróz, ręce posiniały nam z zimna i prawie ich nie czuliśmy. Wyszliśmy na górę, gdzie znajdował się posterunek wojskowy, i poprosiliśmy żołnierzy, by pozwolili nam się ogrzać w swoim namiocie. Żołnierze zgodzili się i weszliśmy do środka. Rozgrzawszy się trochę, chcieliśmy ruszyć dalej. Mieliśmy do przejścia jakieś 25-27 kilometrów, ale wojscy zatrzymali przejeżdżający samochód i nim dojechaliśmy do wioski

Kiedy dotarliśmy do krewnych, ci zaczęli nas ścisnąć i całować. Wszyscy płakali. Były to łzy radości, że żyjemy.

Trzeciego dnia mama i ciocia pojechały z powrotem do Groznego, gdzie został tato.

Rodziców zobaczyłam ponownie dopiero 9 kwietnia 2000 roku, kiedy zabrali mnie do domu.

Kiedy ich zobaczyłam, zaczęłam płakać. Ich głowy były zupełnie siwe.

Ale dzięki Allahowi udało nam się przeżyć w tym okropnym piekle.

Aby opisać wszystkie nieszczęścia i udręki, których doświadczyliśmy, opowiedzieć o wszystkich okropnościach wojny, brak i słów, i stron w zeszytcie.

Dorośli! Proszę was, opamiętajcie się, przestańcie walczyć! Zlitujcie się nad nami, waszymi dziećmi!!

Przypisy

(1) 15. dzielnica: zamieszkałe masywy górskie w Groznych różnie się nazywają: „miasteczka” (np. miasteczko Majakowskiego), osady (np. osada Kalinina), czy wioski (np. wioska Stara Sunża).

(2) 6 grudnia 1999 roku ogłoszono, że „korytarz bezpieczeństwa” w okolicach osady Pierwomajskojej będzie czynny tylko do 11 grudnia – tzn. w rzeczywistości mieszkańcom miasta postawiono ultimatum.

(3) Tzw. korytarze bezpieczeństwa w istocie nie gwarantowały bezpieczeństwa wychodzącym z miasta cywilom, bo często były one ostrzeliwane.

Dzień Artylerzysty

Milana Zunajrajewa, Grozny, szkoła nr 14, 11 klasa

To, o czym chcę pisać, będzie bardzo smutną opowieścią – wspomnieniem o niedawnych wydarzeniach wojennych.

Miało to miejsce 21 listopada 1999 roku o godzinie 22:00. Był to Dzień Artylerzysty – najokropniejszy dzień w tym roku! Tego dnia zginęło wielu moich bliskich i krewnych. Data ta na trwałe zapisała się w pamięci każdego z nas.

Byliśmy uchodźcami w wiosce Gojty (1). Na naszym podwórku żyły trzy rodziny: babcia, ciocia i kuzyn Orcyk; wujek, jego żona, dwóch synów i dwie córki; i nasza rodzina: ojciec, matka, ja, trzy siostry i brat. Tego ranka każdy z nas jakby przeczuwał nieszczęście, wszyscy byli w stosunku do siebie niezwykle uprzejmi i bliscy.

Były urodziny mojego kuzyna Bibolta. Złożyliśmy mu życzenia i poszliśmy spać. O godzinie 22:00 obudziła mnie siostra. Zewsząd rozlegała się głośnie strzelanina. Nasza papuga miotła się po klatce i przeraźliwie skrzeczała, jakby wyczuwała bliskość śmierci. Ubraliśmy się szybko i wybiegliśmy na korytarz. Bratu Timie i kuzynowi Orcykowi strasznie chciało się spać, zwłaszcza Orcykowi. Ojciec razem z wujkiem podeszli do furtki, gdzie stali już kuzyni i znajomi taty. Mama z ciocią dołączyły do nich. Razem z babcią staliśmy na korytarzu. Moja siostra i ja chciałyśmy pobiec do mamy i prosić, by do nas wróciła, ale nie dałyśmy rady, bo rozpętało się prawdziwe piekło. Niebo poczerwieniało. Siostra uciekła do mieszkania, a ja za nią. Leciąły na nas bomby. Sufit zaczął się walić. Mama z ciocią ledwie zdążyły przybiec do domu. Nasz samochód, stojący na podwórku, płonął. Zaczęłam wołać ojca. Wszyscy płakali. Zapalił się dach domu. Krzyczeliśmy, dusząc się dymem i sadzą. Nagle zobaczyłam, że wylatuje w powietrze furka, przy której stali nasi krewni razem z moim tatą. Zamarło mi serce: czyżby już go nie było? Zaczęłam go rozpaczliwie wołać. Nawet nie wiem, jak to się stało, że rzucił się ku nam przez szalejący ogień i wyprowadził nas na podwórko. Uciekaliśmy na bosaka i czołgaliśmy się na tyły domu. Wszyscy pytali o Orcyka. Siedząc już w dole za domem, dotknęłam pleców mojej siostry i zobaczyłam na ręce krew, bardzo się przestraszyłam. Była ranna. Ranni byli też: mama, tato, moja druga siostra i kuzyn Bibolt. Babcia i Orcyk zginęli. Orcykowi urwało głowę, a babcia dostała kulę prosto w serce. Cały korytarz sphywał krwią. Tej nocy umarł też kuzyn taty (2).

Następnego ranka, patrząc na nasz dom, w którym jeszcze w nocy mieszkaliśmy, pytaliśmy siebie: „Czy to prawda, żeśmy to wszystko przetrwali?”. Nie mogliśmy uwierzyć, że ocaliliśmy. Nam udało się przeżyć, ale jedyny syn mojej cioci zginął.

Po dwóch latach urodził się nam braciszek, ale znów zaczęły się nieszczęścia. Ojciec pracował wtedy jako taksówkarz. 4 października 2001 wsiadło do jego taksówki dwóch młodych mężczyzn. Kazali mu jechać w odludne miejsce i dwukrotnie strzelili mu w głowę. Cudem przeżył. Miał liczne operacje, ale pozostał przy życiu.

Minęły kolejne dwa lata. Tata jakoś się pozbierał. Teraz pracuje jako adwokat.

Któż by przypuszczał, że naszą rodzinę dotknie taka tragedia?! To, co napisałam, nie jest wymysłem fantazji, ale prawdziwą historią rodziny Zunajrajewów, typową historią czeczeńskiej rodziny ostatniego dziesięciolecia XX wieku.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Wioska ta leży „na płaskowyżu” w dystrykcie urusmartanowskim, nieco na południe od Groznego.

21 listopada 1999 koło godziny 21:00 rosyjska artyleria przypuściła atak na centrum wioski Gajt (wcześniej ostrzelano tylko jej okolice). Na ulicy Gagarina zniszczono około dwudziestu domów, pod ostrzał dostała się też ulica Kirowa. Świadkowie informowali, że zginęło od 5 do 8 ludzi, w tym dziecko w wieku 5 lat, 17-letni chłopak, 60-letni mężczyzna i trzy kobiety (wg informacji Human Rights Watch z 25 listopada 1999).

Dopóki życia stanie...

Zurab Idałow, wioska Cyszki, rejon groźnieński, kl. 8

Nikt nigdy nie da rady wyperswadować mi, że najstraszniejszym złem na Ziemi jest wojna. Niestety, młode pokolenie Czeczenów dowiedziało się o niej nie z książek czy filmów. Ona przeszła jak trąba powietrzna przez nasz los, przez nasze życie. Chciałoby się zamknąć oczy i pomyśleć, że to wszystko jest tylko koszmarnym snem. Ale rzeczywistość nie pozwala przestać o tym myśleć, zapomnieć.

Mieszkam w małej górskiej wiosce Cyszki (1). To moja rodzinna wieś – tu mieszkają moi rodzice i rodzice moich rodziców. Ta mała miejscowość wypija swoją czarę goryczy do dna, z dokładką.

Zamykam oczy i w wyobraźni widzę moich rówieśników: Alichna Abatajewa i Zelimchana Echajewa wraz z ich mamą, śliczną Zurkę - młodą mamę i wielu innych chłopców i sąsiadów: Badrudina i Mensura. Nigdy już ich nie zobaczę, nigdy się do mnie nie uśmiechną. Wszystkich przemilił straszny Moloch. Odeszli na zawsze, ale żyją nadal w moim sercu, a pamięć o nich będzie trwała dopóki mi życia stanie.

Tego strasznego majowego dnia 1995 roku na nasze podwórko weszli nagle ludzie, niosący na noszach ciężko ranną Ajzę Echajewą i jej jedynego synka Zelimchana. Trzeba ich było natychmiast operować. Ojciec, mimo braku prądu, operował wraz ze swoim kuzynem dniami i nocami. Nie udało się jednak uratować ani matki, ani syna – pochowano ich w jednym grobie. Kiedy umiera młoda kobieta i jej syn – to tragiczne i straszne. Zaś podwójnie straszne i absurdalne, kiedy umierają tak okropną i gwałtowną śmiercią.

A przecież historia zagłady tej rodziny jest całkiem zwyczajna. Ojciec udał się właśnie na posterunek, aby strzec wioskę przed nieproszonymi gośćmi. Akurat w tym czasie nadleciał lotnik z „bojowym” zadaniem – pozbyć się swego śmiercionośnego ładunku. Pikując nad wioską, spuszczał kuliste bomby i meldował pewnie dowództwu o zniszczeniu gniazda bojowników, a w tym momencie w rodzinie Chamzata Echajewa po wieczne czasy zamieszkał smutek. Pogrzebawszy żonę i synka, ojciec zabrał pozostałe przy życiu córki i wyjechał – musiał przecież chronić tych, którzy mu pozostali, i leczyć ranną Chedę.

Stale myślę o tych „asach przestworzy” – lotnikach. Pewnie na miejscu serca mają „zimny silnik”, kiedy twardą ręką pociągają za spust i spuszczaają śmierć na głowy starców, dzieci i kobiet.

27-letnia Zurka ciemną październikową nocą rozwieszała bieliznę swojej nowo narodzonej córeczki. Pewnie ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, był złowrogi warkot samolotu. Na dom, w którym mieszkała wraz z rodziną, spuszczone bomby głębinowe (2)... Mieszkańcy wioski byli wstrząśnięci potwornym widokiem, jaki zobaczyli w słońcu poranka. Dzieci jednak cudem ocalały. Jak mówią dorośli – starszej dziewczynce, Eset, przydałaby się pomoc psychoterapeuty. Ale na taki luksus nie może sobie pozwolić zwykła czeczeńska dziewczynka – zresztą, takich jak ona, jest bardzo wielu.

Wiosna 2002 była przełomem w życiu mieszkańców wioski – po wielu miesiącach tułaczki do domów, które ocalały, zaczęli wracać ludzie. Przestały też nad nami latać samoloty i wioska odżywała. Zajęcia szkolne rozpoczęły się w biedzie i nędzy. Poczyliśmy się trochę w piątej klasie i skończyliśmy szóstą, a potem nastąpiły zasłużone wakacje.

W pogodny czerwcowy poranek mój klasowy kolega Alichan Abatajew poszedł na pastwisko z krowami ... po raz ostatni. Wszedł na zamaskowaną minę.

1 września 2002, kiedy wszyscy cieszyli się pierwszym dniem nauki, a w naszej klasie panowała przytłaczająca cisza – tak dotkliwie odczuwaliśmy nieobecność Alichana, ale jeszcze trudniej było patrzeć na jego matkę i brata.

W czasie swego krótkiego życia zobaczyliśmy taki ogrom nieszczęść i smutku, że często niejeden starzec w ciągu długiego życia tyle nie doświadczy.

Mieszkamy na przepięknej ziemi, mamy wspaniałe obyczaje i tradycje pielęgnujące dobro i sprawiedliwość. Życie naszych przodków opisywali Lermontow, Puszkina, Tołstoj i Sołżenicyn. Mikołaj II dziękował czeczeńskim matkom, że wychowały takich dzielnych synów. Prawdziwy Czeczen nie odmówi gościny ani bliźniemu, ani wrogowi, jeśli ten znajdzie się w potrzebie.

Wierzę w ducha moralności mojego narodu, w tę jego siłę, której nie złamie żadna dziejowa zawierucha.

Wierzę, że w niedługim czasie namaluję obraz rodzinny czeczeńskiej w jaśniejszych barwach, napiszę o szczęściu, radości, weselu, o rodzinie wyleczonej z ran i optymistycznie patrzącej w przyszłość.

Na koniec pragnę wezwać wszystkich do pamiętania o przeszłości i o tych, którzy od nas odeszli na zawsze – powinniśmy żyć za siebie i za nich.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Wioska Czyszki znajduje się na południe od Groznego, na zachodnim brzegu rzeki Argun. Była lojalna w stosunku do władz federalnych zarówno w pierwszej, jak i drugiej wojnie czeczeńskiej.

„Bomby głębinowe” w marynarce wojennej używane są do niszczenia łodzi podwodnych. W Czeczenii „bombami głębinowymi” nazywano bomby lotnicze o dużej sile rażenia, przeznaczone głównie do burzenia betonowych schronów.

Przeżyliśmy trzy wojny

Madina Furażowa, Grozny, szkoła nr 27, kl.11

Mieszkam w Grozным prawie piętnaście lat. Przeżyliśmy tutaj trzy wojny.

Kiedy zaczęła się pierwsza wojna czeczeńska, przeprowadziliśmy się do Inguszetii, do krewnych. Nasza rodzina składa się z pięciu osób: taty, mamy, sióstr Mariny (15 lat) i Chedy (2 lata) oraz mnie. Ale wtedy jeszcze Chedy nie było na świecie, urodziła się dopiero w 2001 roku.

Chociaż nie byliśmy naocznymi świadkami tego, co działo się wtedy w Grozным, to uważnie śledziliśmy rozgrywające się tam wydarzenia: ostrzał artyleryjski i śmierć niewinnych ludzi. Bardzo to przeżywałam. Uciekając z Groznego, zostaliśmy ostrzelani – to było straszne: zabite dzieci, kobiety, starcy i krążące nad nami samoloty. Z pomocą Allacha nasza rodzina przebyła tę drogę bez ofiar w ludziach.

Tato i mama wrócili, kiedy tylko się trochę uspokoiło. Nas z siostrą przywieziono tu nieco później. Nie mogliśmy poznać rodzinnego miasta. Już po drodze widzieliśmy leżące na polach martwe krowy, psy, koty, kury.

Wszyscy nasi krewni mieszkali dawniej w Grozным – dziadek, babcia, wujkowie, ciocie. Dziadek wspominał, jakie to było miasto - piękne, wysokie domy, kina, cyrk, kluby, ile było ludzi, młodzieży, jak chodzili do teatru, do kina. A teraz on nie chce wracać, bo życie stało się tutaj bardzo niebezpieczne, wszystko zostało zniszczone.

Druga wojna czeczeńska, która zaczęła się w roku 1999, była dla mnie pasmem koszmarnych przeżyć. Pierwszego dnia wojny ja, moja siostra Marina i wszyscy moi przyjaciele wróciliśmy ze szkoły do domu. Nagle nad nami pojawiły się samoloty, a potem niedaleko nas usłyszeliśmy wybuch. Przybiegliśmy do domu przerażeni. Nie zastaliśmy tam nikogo, mama była w pracy, jest nauczycielką w młodszych klasach, a tato również był w pracy, jest kierowcą. Po chwili poszliśmy sprzątać schron, ale za bardzo nam się nie przydał. Z każdym dniem było coraz gorzej, na moje miasto spadały bomby i pociski.

Trzeciego dnia mnie i Marinę wsadzono do autobusu, a rodzice zostali w mieście. Tego dnia nigdy nie zapomnę, na moich oczach ginęli ludzie, dzieci płakały, kobiety lamentowały, starsi ludzie krzyczeli, zabierano naszych chłopców. W kobietę z maleńkim dzieckiem trafił pocisk, było pełno krwi, zginęli na miejscu. Nikt do nich nie podchodził, każdy się bał.

Autobus jadący przed nami wyleciał w powietrze (2), ale my przeżyliśmy. W końcu dotarliśmy do krewnych. To była okropna podróż. Poszliśmy na noc do obcych ludzi.

Teraz cała nasza rodzina mieszka w Inguszetii, tylko my wróciliśmy do Groznego. Nie chcę wyjeżdżać z tego miasta. Tu się urodziłam, tu żyli moi przodkowie. Jestem narodowości inguskiej, ale bardzo lubię naród czeczeński.

Nie ma już domu, w którym mieszkali dziadkowie. W pobliskiej szkole nr 49 uczył się mój ojciec, potem ja. Szkoła też bardzo ucierpiała w tej wojnie.

Teraz mieszkamy gdzie indziej i chodzę do szkoły nr 27. Niedawno pojechaliśmy na olimpiadę. Razem z przyjaciółmi znalazłam się pod ostrzałem artyleryjskim, w samym centrum miasta, gdzie było najwięcej ludzi. Wszyscy uciekali w popłochu.

Naród czeczeński i wszyscy, którzy przeżyli wojnę w Czeczenii, będą takie sceny pamiętali do samej śmierci. Pragnę, by ludzie po przeczytaniu tego wypracowania zrozumieli, że mamy już dość życia wśród ruin naszych domów, bez światła, komunikacji, bez wody. Nasze osiedla są daleko od głównej magistrali czy centrów handlowych. Wieczorami, kiedy odrabiamy lekcje, nie ma światła, praktycznie nic nie widać, a rano znów to samo – przychodzimy do szkoły, nic nie widać, ciemno w klasach.

Teraz moje miasto stopniowo odradza się, buduje się nowe domy. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś rozkwitnie.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Prawdopodobnie 21 września.

„Autobus, jadący przed nami, wyleciał w powietrze” – 24 września 1999 samoloty lotnictwa federalnego bombardowały szosę Rostów–Baku w rejonie wsi Samaszki. Zginęli wtedy pasażerowie jednego z autobusów. (Wg raportu Amnesty International, listopad 1999).

Samaszki

Irman Sugaipow, Samaszki, dystrykt aczchoj-martanowski,

szkoła nr 3, kl. 10

Tego roku drzewa długo stały w zielonej szacie. Potem nadszedł listopad, kiedy to zwykle lasy i sady Czeczenii tracą już różnokolorowe listowie. Dziwnie zatem chodziło się po dywanie zielonych liści, które szeleściły pod nogami suche i zeszywniałe od porannych przymrozków.

Starzy ludzie, pamiętający z dawnych czasów podobne niezwykle zjawiska przyrody, przepowiadali nieszczęście: Będzie wiele sierot – wieszcyli.

Nieszczęście nie dało na siebie długo czekać: grudzień przyniósł Czeczenii wojnę – dziwną i straszną, odwracającą pojęcia dobra i zła.

Zburzone domy, zgliszcza, śmieci, ogromne dziury w drogach – same ruiny, jakby ktoś chciał zetrzeć wszystko z oblicza Ziemi.

Teraz pozostały tu jedynie zdziczałe psy i ludzie, którzy nie mają dokąd pójść, i do tego jeszcze żołnierze z bronią w ręku, którzy od rana do wieczora chodzą po domach w poszukiwaniu nowych ofiar, tłumacząc, że przeprowadzają kontrole. W ciągu dnia, mimo trudnych warunków życia, istnieją jeszcze pozory normalności, ale nocą

Co dzieje się nocą?

Bombardowania, strzelaniny - całą noc spędza się w strachu: stale myślisz, że za chwilę padnie na ciebie, na twój dom czy twoich bliskich. Wychodząc rano z domu, widzisz na ulicy czy na podwórku świeże odłamki i łuski pocisków po wczorajszym ostrzale. Żadna noc nie mija bez ofiar, czasami giną całe rodziny zabijane przez nieznaną, zamaskowanych osobników. Czasem bandyci nawet nie zakładają masek.

A ile ludzi ginie! Krewni szukają ich latami i nie mogą znaleźć. Są szczęśliwi, kiedy znajdą chociaż zwłoki zaginionego. W spalonym i zbombardowanym mieście często widzi się wśród ruin napis kredą czy farbą na rozwalonej bramie: „Tu mieszkają ludzie”. Zdarzają się też inne napisy: „Nie ma czego brać, wszystko rozgrabione”. Ale nie znajdziesz nic trafniejszego od słów: „Witamy w piekle!”. Tak ktoś napisał na murze urzędu państwowego przy wjeździe do miasta.

I w takich potwornych warunkach ludzie starają się jakoś przeżyć.

W naszej rodzinnej wsi Samaszki, w czasie pierwszego szturmu, 7-8 kwietnia 1995, mieszkańcy wywieszali na bramach białe prześcieradła na znak, że mieszkają tu ludzie pragnący spokoju. Wielu z nich nie przeżyło ataku.

Tylko w czasie pierwszej wojny czeczeńskiej Samaszki były dwukrotnie atakowane: w nocy z 7 na 8 kwietnia 1995 i w marcu 1996 (1). Wielu mieszkańców wioski na długo przed rozpoczęciem działań wojennych opuściło swoje domy. Porzuciwszy cały dorobek życia, uciekli do Inguszetii. Ale nawet wśród starszych byli tacy, którzy zapewniali, że spokojnym obywatelom nic nie może się stać. Zostawali więc, by pilnować domu i dobytku. Przypadł im w udziale gorzki los. Na jednej tylko ulicy bomby zniszczyły wszystkie domy. Zginęło tam 13 osób, jedni spaleni żywcem, inni rozstrzelani.

Byli to ludzie, którzy nie mieli z wojną nic wspólnego, pilnowali tylko swego dobytku. Wśród nich byli Zachar Kabirow i Supian Minajew, weterani Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Tego fatalnego dnia mieli na sobie wszystkie ordery i odznaczenia.

Krzyki palonych żywcem Madu Rasujewa i jego żony Kiesirt słyszała Ziła Batyrgaldiewa, mieszkająca na sąsiedniej ulicy. „Wzywali pomocy - mówiła później Ziła - ale nie mogłam wyjść z ukrycia, bo spotkałoby mnie to samo”. A w tym czasie ich syn, Hasan, stał przywiązany sznurami i liną do transportera opancerzonego. Później opowiadał: „Jestem przywiązany do batra* i widzę, jak żołnierze, gdy podpalą ze trzy budynki, odpoczywają, ćmiąc beztrudno papierosy, a potem idą dalej. Szli tak wzdłuż ulicy Stepowej. Na jezdni leżał zabity. W tym czasie z bramy jednego z domów wyprowadzono jakiegoś Rosjanina, którego żołnierze pytali: «Rosjanin? To co tu robisz?» – «Przyjechałem do kolegi». – «Do Czeczena?» – «Tak, razem służyliśmy w wojsku.» – «Czeczen jest twoim kolegą?!» – i zaczęli go bić. Bili tak długo, aż się zmęczyli i musieli odpocząć. Śmiali się: «Pewnie po to przyjechałeś? Mów, co tu robisz!» – «Nie mam dokumentów. Chciałem tu gdzieś zamieszkać, pracować, pomagać innym». – «Dla Czeczenów chciałeś pracować?!» Związali go i jeszcze dwóch innych i popędzili nas w stronę stacji. Na przejeździe nas rozwiązali. Mnie wrzucili do rowu. Ich dowódca powiedział: «Zastrzelcie ich, chłopcy» - i odszedł. Kiedy wrócił, krzyczał: «Jeszcze się z nimi nie rozprawiliście?! Jesteście baby?! Nie umiecie ich załatwić?!». Potem przyjechał jakiś samochód. «Nie teraz – słyszę - ładować ich». Wsadzili nas na ciężarówkę, a z tyłu jechał bater z karabinem maszynowym. Zawieziono nas do obozu, gdzie na ziemi leżało wielu jeńców. Nam też kazali się położyć. Zaczął obwąchiwać nas pies, a któregoś nawet ugryzł. Chciałem zobaczyć, co się dzieje. Ledwie podniosłem głowę, zaraz oberwałam kolbą – zabronili patrzeć.

Potem wieziono nas do helikoptera. W samochodzie leżeliśmy czterema warstwami. Nasza czwórka była w ubraniu, pozostali – rozebrani do pasa, a niektórzy w samych tylko spodenkach. Kiedy dojechalismy, wyrzucono nas z samochodu. Kto nie dawał rady biec, tego gryzły psy. Bieglismy wzdłuż szeregu żołdaków pod ciosami ich uderzeń. Bito nas również przy załadunku do śmigłowca. Trudno było bowiem wchodzić po trapie z rękoma związanym do tyłu. Jeśli ktoś nie dawał rady, był bity, a jeśli ktoś upadł, był gryziony przez psy. Przy wejściu do helikoptera – znowu bicie. Podobnie było przy wysiadaniu w Mozdoku. Na punkcie filtracyjnych wszystkich samaszkowian znowu przepuścili «przez szereg», tłukąc kijami i kolbami. Obozowe cele były przepelnione. Na szczęście, nie trzymali mnie tam długo, już 10 kwietnia byłam wolna. Zmusili mnie tylko do podpisania oświadczenia, że nie będę się skarżył”.

Kiedy wrócił do domu, nie zastał już rodziców przy życiu. Pozostał po nich tylko popiół. W tym popiele znalazł kolczyk swojej matki. Przyszło mu jeszcze przeżyć śmierć żony i dziecka. To było już ponad jego siły. Po trzech latach sam już nie żył. Osierocone dzieci nie miały zatem nikogo bliskiego.

Rosyjscy wojskowi świadomie rzucali do piwnic granaty, jeżeli tylko przypuszczali, że mogą tam znajdować się ludzie. Wybuch granatu

zabijał najczęściej starców, kobiety i dzieci. Kiedyś zginęło w ten sposób sześćcioro dzieci, a dwoje zostało rannych. Kiedy na drugi dzień oprawcy wrócili, mimo usilnych próśb ocalałych, dobili rannych. Pozostali przy życiu mieszkańcy Samaszek opowiadali, że po odejściu wojskowych, prawie w każdym domu znajdowano ampułki po narkotykach, głównie promedolu, i strzykawki. To by świadczyło, że żołnierze nie byli świadomi, co robią.

W wyniku tej jednej operacji w Samaszkach zginęło 130 mieszkańców (2) i spalono całe ulice.

Ale na tym nie skończyły się udręki samaszkowian. Czekają ich jeszcze coś gorszego. W marcu 1996 zaczęły się nowe doświadczenia. Jeśli przy pierwszym ataku żołnierze posługiwali się technicznymi urządzeniami wojskowymi i automatami, to tym razem zastosowali wszystkie rodzaje broni: samoloty, helikoptery, wyrzutnie „Grad” i inne. Samaszki zostały zrównane z ziemią. Nie ocalał ani jeden dom. Ze wsi wywieziono cztery kamazy zabitego bydła. Wszędzie wałały się odłamki pocisków. Ludzie zostali żywcem pogrzebani w piwnicach. W czasie tej operacji w Samaszkach zginęło 187 ludzi (3). Byli to cywilni mieszkańcy wioski: dzieci, starcy i kobiety.

A co mamy dzisiaj? Przeszłość przesiąkniętą strasznymi wspomnieniami i niepewną przyszłość. Mamy też ogromną nadzieję i wiarę w Allacha... I tym żyjemy.

Przypisy:

* BTR = transporter opancerzony

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->7 kwietnia 1995 roku w Samaszkach miało miejsce starcie oddziałów sił federalnych z nieliczną grupą bojowników, którzy nie zdążyli opuścić wioski, na skutek czego zginęło kilku wojskowych rosyjskich. Następnego dnia przeprowadzono we wsi karną operację, w czasie której, wg informacji „Memoriału” zabito 103 mieszkańców.

<!--[if !supportLists]-->(2) <!--[endif]-->Wg informacji „Memoriału” zabito 103 mieszkańców – p. wyżej.

<!--[if !supportLists]-->(3) <!--[endif]-->Być może chodzi o sumę ofiar w następstwie obydwu ataków na wioskę, zob. wyżej.

Niebo nad Gudermesem

Ajna Kierimowa, okręg rostowski, stacja Jegortykowska, kl. 11

Czeczenia to kraj niewielki, otoczony ze wszystkich stron górami i lasami. Całą jej powierzchnię przecinają większe lub mniejsze rzeki.

Największa z nich, od wieków opiewana przez poetów – Terek – toczy swe mętne wody z samego serca gór. A przez mój rodzinny Gudermes przepływa Gums – rzeka, która zda się nie mieć początku ani końca, niezbyt głęboka i niezbyt szeroka. Stojąc na jej środku, można zobaczyć na dnie drobne kamyczki i rybki, które, dostawszy się w jej bystry nurt, próbują mu się przeciwstawić. A kiedy w upalny letni dzień wykąpiesz się w Gumsie, poczujesz przyływ nieprawdopodobnej siły, ochoty do życia, potrzeby pomagania słabszym i pracy dla dobra Ojczyzny.

Rodzina nasza mieszkała w mieście Gudermes przy ulicy Kirowa. Tę ulicę przypominały mi potem wszystkie inne ulice - czy to w stacji Jegorłykowskiej, czy też w innych miastach, do których rzucał mnie los tułacza. W Gudermesie jest wiele domów prywatnych, ale są też bloki i szkoły, a wśród nich moja ulubiona – szkoła nr 1. Chodziłam do niej dwa lata. W mieście była też szkoła sztuk plastycznych, gdzie uczyłam się rysunków. Tory kolejowe dzieliły miasto na dwie części, a nad nimi wznosił się wysoki wiadukt, po którym baliśmy się chodzić. Do centrum można było się dostać jedynie po tej estakadzie. Zapamiętałam jeszcze wielopiętrowy budynek Wyższej Szkoły Pedagogicznej.

Na przedmieściu Gudermesu znajdowało się niewielkie osiedle – taki mały auł. Tam mieszkali krewni ze strony taty. Często jeździliśmy do nich w odwiedziny i bawiliśmy się z ich dziećmi. To osiedle obejmowało zaledwie trzy, cztery długie ulice. Wszyscy tu się bardzo dobrze znali. Na skraju aułu znajdował się meczet, a za nim cmentarz, gdzie spoczywało wielu naszych przodków. Niebo nad Gudermesem zawsze wydawało mi się czystsze i bardziej błękitne niż nad innymi miastami czy wioskami.

Często, kiedy przyjeżdżałam do Groznego, do dziadków, zauważałam, że niebo tutaj nie jest tak jasnobłękitne jak nad moim miastem, a jego szaroniebieska barwa harmonizuje z szarością wielkich blokowisk. W Groznym znajduje się wiele zakładów przetwórstwa naftowego i przedsiębiorstw chemicznych, jednak ich mnogość nie psuje piękna tonącego w zieleni miasta.

Nadszedł rok 1991. Moja mama wspomina: „Coraz częściej zaczęły pojawiać się ogłoszenia o sprzedaży domów (1). Serce się ścisnęło. Czuło się nadciągające zmiany, gasła radość życia. Trzy lata później w Czeczenii wybuchła wojna, a 14 grudnia 1995 zaczęła się strzelanina w Gudermesie (2). Na dachach domów pojawili się snajperzy. Ja z dziećmi i sąsiadka z dwoma synami przesiedzieliśmy dwa dni w piwnicy naszego domu. Wychodziliśmy na górę tylko po wodę i coś do jedzenia, i to bardzo rzadko.

W końcu postanowiliśmy przedostać się do schronu. Powoli i ostrożnie, kuląc się pod gradem kul, przechodziliśmy przez główną ulicę. Drżeliśmy ze strachu, kiedy kule świszczwały nam koło uszu. Rano, po spędzonej w schronie nocy, dowiedzieliśmy się, że miasto będzie bombardowane.

Kobiety, starcy i dzieci wyszli na ulicę i skierowali się w stronę stojących autobusów z białymi chorągiewkami. Autobusy miały tabliczki z nazwami miejscowości, do których ewakuowano mieszkańców Gudermesu. Postanowiłam pojechać do Majrtupu (3), gdzie mieszkała moja koleżanka z pracy. Kiedy przyjechaliśmy do miasta, udało mi się szybko odnaleźć dom Łajzy. Powitała mnie jak siostrę: obejmowałyśmy się i płakały. Pomagałam jej zajmować się domem i gospodarstwem. Ale, jak to się mówi, w gościnie dobrze, jednak w domu najlepiej, więc wróciliśmy do Gudermesu.”

Byłam wtedy małą dziewczynką. Pamiętam tylko, że na ulicach było dużo transporterów opancerzonych i czołgów, a na niebie mnóstwo śmigłowców i samolotów. Po ulicach chodzili mężczyźni w maskujących uniformach. Całe noce trwała bezładna strzelanina. Kładliśmy się spać w ubraniach na wypadek, gdyby przyszło nam uciekać. Życie w mieście jakby się zatrzymało, było to przerażające. Szkoły zostały zamknięte, więc nasza rodzina postanowiła znów wyjechać. Razem z nami pojechała też sąsiadka, ciocia Marina, z dziećmi. Swoje rzeczy wiozła na sankach, a mama niosła torbę z naszym dobytkiem. Był zimny styczeńowy dzień. Dotarliśmy do Chasawjurtu, stamtąd do Kizlaru, a w końcu do Wołgogradu. Dalej nasze drogi się rozeszły. Ciocia Marina zdecydowała się jechać do okręgu samarskiego, a my do rostowskiego. Usiedliśmy, zapłakali i rozstaliśmy się. Nasza droga prowadziła do stacji Jegorłykowskiej. Przyjechaliśmy do dziadków, którzy sami niedawno przedostali się tutaj. Dla brata Janusa postarano się o miejsce w przedszkolu „Rumianek”, a ja poszłam do szkoły nr 11, która wkrótce stała mi się bardzo bliska.

Minęła wiosna, nadszedł czerwiec. Dowiedzieliśmy się, że w Gudermesie zapanował już spokój i wracaliśmy z nadzieją, że wszystko się ułoży.

Nie mogliśmy poznać miasta: biblioteka przy klubie kolejowym w ruinie, w mieście pełno wahhabitów (4). O wszystkim decydują ich sądy. Życie wkroczyło na mroczną ścieżkę: w szkole nie ma komu uczyć, wodociągi nie działają, wodę trzeba przywozić, brak prądu, bo zniszczono elektrownię, ciągła strzelanina i wybuchy, palą się domy. Jakiś czas przeżyliśmy w tym koszmarze, ale wkrótce postanowiliśmy pojechać z powrotem do Jegorłykowskiej stacji. Kupiliśmy oficynę i zaczęliśmy „przychodzić do siebie”. Jednak koszmarnie przeżycia pozostawiły swój niezatarty ślad. Kiedy tylko mój mały braciszek zobaczył na niebie helikopter, biegł do domu z krzykiem, że zaraz będą nas bombardować. Trzeba mu było tłumaczyć, że tutaj jest inne życie, nie ma wojny. Musiało minąć kilka lat zanim zapomniał o strachu i zaczął spokojnie śledzić lot „stalowej ważki” po niebie.

Dzisiaj mama wspomina: „Minęły lata, dzieci podrosły. Nadszedł czas, by wyprawiać im wesela. Zewsząd zjeżdżają się goście, bo los porzucił ich po całej Rosji. Kiedy zbieramy się razem, śpiewamy te same pieśni co w Gudermesie i tańczymy lezginkę. A kiedy rozlega się hymn Groznego, w oczach mimo woli pojawiają się łzy. Dzieci proszą nas, byśmy nie płakali, bo nie rozumieją, co znaczy porzucić kraj ojczysty, ziemię, gdzie człowiek się urodził i dorósł. Ze względu na nie przestawiliśmy się mentalnie i myślimy, że dobrze jest tam, gdzie dobrze jest naszym dzieciom. W stacji mieszka wiele rodzin, które przywodziły się tutaj z Groznego i Gudermesu. Wszyscy oni wspominają lata spędzone w Czeczenii, ale Jegorłyk to nasza nowa ojczyzna, gdzie zapuszczamy korzenie, to nasza teraźniejszość i przyszłość”.

Teraz ta skromna stacja Jegorłykowska stała się moją drugą ojczyzną, chociaż żal było wyjeżdżać z ojczystego kraju i rodzinnego miasta. Z początku co noc śniła mi się Czeczenia z jej wartkimi rzekami, górkami szczytami i zmienną pogodą. Z czasem wszystko się zaciera. Teraz, chociaż niekiedy przyśni mi się ojczysty kraj, to już nie tak barwnie i wyraziście, jak wtedy, siedem lat temu. Mogę się tylko domyślać, w co wojna zmieniła mój kraj i czasem dowiaduję się czegoś o Czeczenii z wiadomości telewizyjnych. Jestem pewna, że jak długo będę żyła i gdziekolwiek będę mieszkała, nigdy nie zapomnę lat spędzonych w Ojczyźnie.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Końcem lat 80. zaczął się odpyw ludności niewajnachskiej z Czeczenii, na którą wywierano presje kryminalne.

<!--[if !supportLists]-->(2) <!--[endif]-->14-17 grudnia w Czeczenii miały miejsce wybory, którym towarzyszyły liczne naruszenia prawa i falsyfikacje. W tym czasie dystrykty: wedeński, szatojski, szaliński i nożaj-jurtowski i szereg innych miejscowości Czeczenii znalazły się pod kontrolą separatystów i nie można tam było zorganizować wyborów. 14 grudnia, w celu uniemożliwienia przeprowadzenia wyborów, oddziały bojowników wkroczyły do wielu znaczących miejscowości Czeczenii. W rejonie miejscowości Szatoj, Nowogroźnieński, Aczchoj-Martan doszło do starć zbrojnych. Oddziały Salmana Radujewa, Hunkar-paszy Israpitowa, Sułtana Gelischanowa zajęły drugie co do wielkości miasto Czeczenii, Gudermes. W ciągu następných dni próby wypędzenia ich z miasta, podjęte przez stronę rosyjską, nie powiodły się. W mieście toczyły się ciężkie walki. 19 grudnia do Urus-Martanu skierowano oddział czeczeńskiej milicji, ale udało się uniknąć starcia. 19-20 grudnia po zmasowanym ataku artyleryjskim, bombardowaniach i ciężkich walkach wojsko zajęło Gudermes i przystąpiło do jego „oczyszczania”.

<!--[if !supportLists]-->(3) <!--[endif]-->Wioska w rejonie kurczłojewskim, na wschód od Gudermesu.

Prawdopodobnie chodzi o lato 1998 roku. Po ataku w grudniu 1997 roku na 136. brygadę zmotoryzowaną w mieście Bujnask w Dagestanie wzmogły się represje na „wahhabitów” i wielu młodych zwolenników radykalnego islamu – ponad tysiąc – uciekło do Czeczenii. Tutaj, nie będąc ograniczonymi więzami rodzinnymi czy jakimikolwiek innymi, stali się narzędziem w rękach liderów religijnych ekstremistów. Wpływ tych ostatnich stale rósł, rosło też niezadowolenie Czeczenów z poczynań „wahhabitów”. 15 lipca 1998 roku dziesiątki mieszkańców Gudermesu zostało zabitych i rannych w czasie starć między „wahhabitami” i siłami podporządkowanymi prezydentowi Aślanowi Maschadowowi. Jednak ten nie wykazał się dostateczną stanowczością, nie wykorzystał poparcia ludności czeczeńskiej, zaprzepaścił możliwość ostatecznego rozprawienia się z religijnymi ekstremistami, którzy dalej działali, nie bacząc na decyzje prawowitej władzy. To w znacznej mierze przesądziło o wtargnięciu do Dagestanu w roku 1999 wojsk rosyjskich i początkach drugiej wojny czeczeńskiej, a także o przejściu na stronę sił federalnych muftiego Czeczenii Achmeda Kadyrowa dowódców polowych, braci

Jamadajewów, którzy latem 1998 roku przeciwstawili się „wahhabitom” w Gudermesie.

„Bohcza” mojej babci

Milana Malcagowa, stacja Nurska,

szkoła nr 2, kl. 10

Moja babcia, Mariam Musajewa, przechowuje bardzo cenną dla siebie rzecz. Jest to rodzaj koperty, uszytej z aksamitnej tkaniny z podszewką w środku. Trzyma się w niej nici, igły, nożyczki, skrawki różnych materiałów – wszystko, co niezbędne do robótek ręcznych. „Kopertę” po zamknięciu obwiązuje się sznurkiem, przszytym do jej klapki. Przedmiot ten nazywa się „bohcza” i został uszyty przez moją prababkę, Załpę Musajewą. Kiedyś każda szanująca się Czeczenka musiała taki przedmiot posiadać. „Bohcze” szyto z brokatu, atlasu, aksamitu, ozdabiano perełkami, koralikami lub pasmanterią. Taka „bohcza” była częścią wyprawy ślubnej czeczeńskiej dziewczyny.

Historię związaną z „bohczą” poznałam, kiedy razem z babcią siedziałam w piwnicy w Groznm w roku 1995. Miałam wtedy zaledwie kilka lat, ale do tej pory słyszę warkot samolotów, brzęk tłuczonych szyb, krzyki kobiet i płacz dzieci. Kiedy biorę do ręki „bohczę” i ostrożnie ją rozwiązuję, przychodzi mi do głowy wypowiedziane przez babunię zdanie: „Niedole, ucieczki, wojny... prześladowały nas od zawsze!”. Zastanawiając się dzisiaj nad losem mojego narodu, przywołuję w pamięci dzieje mojej prababci.

W roku 1945 przybyła ona do stacji Priedgornaja we Wschodnim Kazachstanie. Znalaziono ją w jednym z wagonów z węglem i wyrzucono w bieg. Szukała szóstki swoich dzieci, wywiezionych z Czeczenii do dalekiego, zimnego kraju. Zesłano ją do Południowego Kazachstanu, a dzieci – do Wschodniego. Półtora roku tułała się od jednej stacji do drugiej. Z wielkim trudem udawało się jej uprosić konduktorów, by pozwolono jej jechać w wagonach z węglem. Podróżowała bez ciepłej odzieży i bez kawałka chleba.

Jej córka Załwa wspomina: „Ze stacji Priedgornaja do wioski Głubokoje mama przeszła nocą ponad 10 kilometrów. Kiedy dotarła do wsi, usłyszała melodię czeczeńskiej pieśni. Wtedy nogi same zaczęły ją nieść. Podeszła do chaty, w której zatrzymaliśmy się i zajrzała przez okno. W izbie paliła się lampa i w jej świetle zauważyła leżącą na stole własną „bohczę”, a obok maszynę do szycia „Singer”. Zdażyła tylko zapukać i upadła, nie miała sił nawet się poruszyć. W tym czasie był już z nami ojciec, który dopiero co nas odnalazł. Usłyszał pukanie, wyszedł i zobaczył mamę, leżącą pod oknem.

Wniósł ją do domu. Była nie do poznania: cała czarna od węglowego pyłu”.

Co przeszkodziło mojej prababci w wyjeździe razem ze swoimi dziećmi?

Był luty 1944. Naród czeczeński oskarżono o kolaborację z Hitlerem, nawet najmniejsze dzieci były uważane za potencjalnych „bandytów”. Nikt nie myślał, co stanie się z dziećmi bez matek. Najstarszy syn prababci pracował w Groznym. Miał dopiero 16 lat. Prababcia pojechała do niego dzień przed wysiedleniem. Pradziadek był na wojnie.

Prababcia Załpa wcześniej straciła rodziców. W wieku 16 lat wyszła za mąż za mojego pradziadka Abusalmana. Przeżyli razem 55 lat, wychowali sześcioro dzieci. Pracowali w przemyśle naftowym w Groznym. Mieszkali na osiedlu baraków wraz z rodzinami Rosjan, Ukraińców, Arian, Żydów. Jedna z jej córek wspomina: „Czytać i pisać nauczył nas pan Torczyński, człowiek niezwykle mądry i świątły, z zawodu nauczyciel. Przyjaźniłam się z jego córką Tamarą. W latach dwudziestych, trzydziestych nie przyjmowano czeczeńskich dzieci do szkół rosyjskich. Przez cztery lata miały się uczyć w klasach czeczeńskich łańskich liter, a dopiero potem zapisywano je do pierwszej klasy. W rodzinach mówiono po czeczeńsku, a z otoczeniem komunikowano się po rosyjsku, armeńsku czy ukraińsku. Nauczyciel Torczyński władał biegle językiem czeczeńskim.”.

Żyli bardzo biednie. Prababcia szyła, robiła na drutach, gotowała i opierała szóstkę dzieci. W zakładzie przemysłowym pracowała jako operator. Było jej trudno nie tylko fizycznie, ale głównie psychicznie. W rodzinie czeczeńskiej rola kobiety uważana jest tradycyjnie za wielce zaszczytną, ale kobieta nie powinna przebywać sama między obcymi ludźmi. To mieli za złe prababci jej krewni i znajomi.

Przemiany społeczne odbijały się również na życiu codziennym zwykłych ludzi. Za wzorową pracę prababcia otrzymała w nagrodę płaszcz. W kraju robiono wszystko, by przeciągnąć kobiety-góralki na stronę zwolenników władzy radzieckiej. Gazety krzyczały tytułami: „Góralki, zakładajcie palta!”.

Córka Załwy wspomina, jak kiedyś pradziadek pojechał furmanką do wioski Stare Atagi w odwiedzinach do krewnych. Była zima. Prababcia nie chciała założyć palta, ale mąż się uparł. Przyjechali do wioski i zatrzymali się koło domu krewniaków. Wtedy w stronę prababci posypał się grad kamieni. Płaszcz był dla nich symbolem zdrady narodowych tradycji i obyczajów. Przed rewolucją przemysłową nie odczuwano potrzeby noszenia ciepłej zimowej odzieży. Najczęściej w chłodniejsze dni narzucano dodatkowo na siebie wielką, ciepłą, wełnianą chustę. Kiedy kobiety włączyły się w proces produkcji, musiały zacząć nosić odpowiednie ubranie. Ale na wsiach wszystko, co nowe uważane było za naruszanie uświęconych zwyczajów, zamach na wolność.

Jednak stopniowo życie rodziny pradziadków poprawiało się: wychowywali dzieci, zbudowali własny dom i jesienią mieli zamiar do niego się wprowadzić.

Ale właśnie wtedy wybuchła Wielka Wojna Ojczyźniana. Mój pradziadek – będący w tym czasie komisarzem wojskowym w Starych Atagach – wyruszył na front jako ochotnik. Prababcia Załpa pracowała jako tokarz w zakładach zbrojeniowych w Grozным, gdzie produkowano pociski do „katiusz”. Ich najstarszy syn, Mowladi też tam pracował. Bywało, że matka i syn całymi dniami przebywali poza domem. Rodzeństwem opiekowała się czterastoletnia Załwa. Jak później wspominała: „W 1943 Grozny był bombardowany. Płonęły szyby naftowe. Wszyscy biegli gasić pożar. Do tej pory słyszę krzyki ofiar, a przed oczami mam poparzonych ludzi, którzy błagali o pomoc, szukali wody. Razem z sąsiadką Chalimat i dziećmi - ona miała trójkę, a ze mną było ich czworo, z czego najmłodsze miało osiem miesięcy – przeprawiliśmy się piechotą przez rzekę Argun do wioski Stare Atagi. Przygarnęli nas dobrzy ludzie, znajomi naszego ojca. Żyliśmy w nadziei, że wkrótce wojna się skończy”.

Wysiedlenie

W roku 1944 Czeczeni przeżyli powszechną deportację do Azji Środkowej i Kazachstanu. I nie tylko Czeczeni, ale i Ingusze, Karaczajewcy, Bałkarcy, Kałmucy.

Te wspomnienia napełniają bólem serce Załwy: „W Starych Atagach ogłoszono, że z rozkazu Stalina Czeczeni muszą zostać wysiedleni. Zebrano wszystkich i zaczęto wywozić z wioski. Przyszło do nas trzech mundurowych i pytali, gdzie są dorośli. Powiedziałam, że mama i brat pracują w Grozным w zakładach wojskowych i właśnie na nich czekamy. Żołnierze powiedzieli, że nie warto, bo oni już nie wrócą i zaczęli mi pomagać w pakowaniu. Radzili zabrać z sobą prowiant i jakieś ciepłe rzeczy. Z jedzenia była tylko mąka kukurydziana, a z ciepłych rzecz – mamin płaszcz i tatowa kufajka. Przeworsowałam zabranie maszyny do szycia «Singer». Pozwoliła nam potem przeżyć w Kazachstanie.

Przywieźli nas podwodą do Groznego. Miałam nadzieję, że spotkam tu mamę i brata. Wsadzano nas po 10-15 rodzin do wagonu towarowego, a w każdej rodzinie było 6-7 dzieci. Cały miesiąc podążaliśmy do miejsca swojego przeznaczenia. Nie zatrzymywaliśmy się na stacjach, a jedynie w szczerym polu – i to rzadko – aby wynieść umarłych. Nie wiemy nawet, gdzie ich pochowano. Ale jak już pociąg się zatrzymał, to staliśmy całymi dniami. Karmili nas kaszą, jedno wiadro na wszystkich.

W wagonie jechał z nami dziadek, który miał prawie 95 lat. Opiekował się nami, dziećmi, bardzo troskliwie, uspokajał, opowiadał, że czeka na nas wymarzony kraj, gdzie rośnie kukurydza wyższa od

człowieka, a krowy dają codziennie kilka wiader mleka. Staruszek nie doczekał końca podróży, zmarł po drodze. Otwarty się drzwi i do wagonu wszedł młody żołnierz. Cały drżał z zimna, a oczy miał pełne łez. Zrobiło mi się go żal i oddałam mu ojcowską kufajkę. Za to w dalszej drodze żołnierz przynosił nam razem z wiadrem kaszy schowany za pazuchą bochenek chleba.

Podróż była straszna: głód, zimno, choroby, ale i w tych warunkach ludzie pozostali ludźmi o wrażliwych sercach, współczującymi, rozumiejącymi, że dotyka nas przerażająca niesprawiedliwość”.

Życie na nowym miejscu

11 marca 1944 najstarsza córka mojej prababci, Załwa, przybyła razem z siostrami (najmłodsza miała wtedy 9 miesięcy) i 4-letnim braciszkiem do Wschodniego Kazachstanu. Tego dnia skończyła 16 lat. Nigdy nie widziała tyle śniegu – półtora metra. Przewieziono ich saniami do leżącego w centrum rejonu Priedgornowa. Tak wspomina to wydarzenie: „Zaczęli nas pytać, skąd jesteśmy, gdzie są nasi rodzice. Mówiłam dobrze po rosyjsku i powiedziałam, że mama i brat pracują w zakładach wojskowych w Grozным, a tato jest na wojnie. Pokazałam ostatni list, który przysłał z frontu. Wtedy padło pytanie pod adresem ich i naszym: «To za co was wysiedlono?». Ci ludzie nie mogli tego pojąć. Zdrowy rozsądek nie potwierdzał bzdurnego oskarżenia, że «Czeczeni to bandyci»”.

Wezwano biurową sprzątaczkę. Nagrzano w łaźni i wykąpano nas. Ile było wszy! Nakarmiono nas chlebem i mlekiem. Rano przyszedł do nas kierownik kołchozu i zarządził umieszczenie dzieci w kołchozowym przedszkolu”.

Zołwa dostała propozycję nauki w szkole drukarskiej, ale nie mogła jej przyjąć, bo nie miała z kim zostawić rodzeństwa. „Trzeba było się nimi opiekować, obuć i przyodziać, a my niczego nie mieliśmy. Czasem musieliśmy iść po wodę do samego Irtysza bosą po śniegu. Napisałam do ojca na front. Nie było odpowiedzi. Był wtedy ranny i leżał w szpitalu w Kijowie. Spotkanie z ojcem nastąpiło niespodziewanie. W roku 1945 skończyła się wojna. W pewne niedzielne popołudnie wyszłam z dziećmi na spacer. Patrząc – stoi żołnierz w otoczeniu rosyjskich kobiet. Chciałam się dowiedzieć, o czym rozmawiają. Podeszłam bliżej i zobaczyłam ojca. Zaczęłam krzyżeć: «To mój tato!» Rzuciłam się ku niemu z płaczem. Objął nas wszystkich serdecznie i zapytał, czy nie jesteśmy głodni. Ojciec zaczął pracować jako zastępca kierownika kołchozu Priedgornoje. Rozpoczęły się też poszukiwania mamy i brata Mowładi. Oni zaś szukali nas. W końcu mama nas znalazła. Jej serce czuło, gdzie nas należy szukać. Mama i brat musieli się potem długo leczyć”.

Moja prababcia znalazła w sobie dość sił, by nie upaść na duchu. Dostała stanowisko brygadystki w kołchozowej brygadzie sadowniczej. Pradziadek Abusalman awansował na dyrektora fabryki. Dużo pomagał ludziom. Pracowali u niego „wrogowie ludu”. Wiedział, jakie represje przeżyli, że są niewinni. Pomagał więc im, jak tylko mógł.

Ludzie odmawiali budowy domów, zakładania ogrodów, bo mieli nadzieję, że za tydzień, miesiąc, rok powrócą na kaukaską ziemię, że w końcu sprawiedliwości stanie się zadość. Tymczasem przyszło im przeżyć aż 13 lat na obczyźnie. Pradziadek wiedział, że głównym winowajcą tego zła jest stalinizm i póki żyje „ojciec narodów”, żadne zmiany nie nastąpią. Ale jak to przeżyć?

Zaczął budować dom, posadził sad. Przychodzili ludzie, oglądali i dziwili się. Taki pozytywny przykład pomógł wielu z nich przetrzymać ciężkie warunki zesłania. Zebrane owoce i warzywa pradziadek rozdawał chorym i starcom. Mieszkańcy wsi przychodzili do niego po nasiona czy sadzonki, albo po prostu po radę... Kwitnący ogródek koło domu przypominał wszystkim ukochaną ziemię kaukaską.

A co działo się w ojczyźnie, w Czeczenii? O tym pisze w swojej nowelce *Nocowała ongi chmurka złota...* Anatolij Pristawkin (1). Opowiada, jak ciężko było wychowankom domu dziecka, przerzuconym z Moskwy na Kaukaz. Dojrzewające jabłka, ciężkie kłosa zbóż, wonne kwiaty – a dokoła żadnej żywej duszy! Jakby jakaś straszna trąba powietrzna porwała tylko ludzi, zostawiając ich nienaruszone domostwa i owoce pracy ich rąk.

Okazało się, że stacja Bieriezowska, gdzie mieszkali ci koloniści, to nie żadna Bieriezowska, a Daj-Czurt, co tłumaczy się „Mogiła ojców”, i do niedawna mieszkali tu Czeczeni. To ich ojczyzna, tu są mogiły ich przodków i z tych mogił radzieccy żołnierze zdejmują nagrobne płyty i brukują nimi drogę prowadzącą w góry, gdzie ukrywali się ostatni „rebelianci”. Drogę, jak mówi pisarz, w przepaść.

W Czeczenii byli osiedlani również studenci. Jeden z nich wspomina: „Zadaniem studentów było utrzymanie porządku w gospodarstwach do czasu przybycia przesiedleńców z powiatów kurskiego i orłowskiego. Mielśmy opiekować się bydłem, karmić je, zebrać zboże, dbać o inwentarz itd. W górskich aułach akcja ta przebiegała inaczej. Stąd bydło wywieziono, a auły spalono, żeby pozbawić «bandytów» środków utrzymania. Całymi dniami w górach świeciły łuny pożarów”.

Powrót

XX Zjazd Komunistycznej Partii ZSRR, w ślad za rehabilitacją działaczy partyjnych i państwowych

represjonowanych za czasów Stalina, skrytykował politykę deportacyjną narodów radzieckich. 9 stycznia 1957 roku proklamowano Czeczeńsko-Inguską ASRR.

Moi krewni przyjęli entuzjastycznie tę wiadomość i nawet nie zadawali sobie pytań: wracać czy zostać? Znaleźli się jednak w trudnej sytuacji. W rodzinnej miejscowości nie mieli już ani domów, ani dobytku, ani pracy. W roku 1957 moją babcię Mariam zaproszono do Ałma-Aty i zaproponowano pracę w Groznych. Pojechała z bratem do swojej ojczyzny z jedną tylko walizką. Trzeba było zaczynać życie od nowa: znowu budowali dom, sadzili drzewa. Do końca 1957 roku cała rodzina była już razem. „W tym czasie - wspomina babcia – starszy brat i dwie siostry mieli już swoje rodziny. Rodzice jednak musieli im pomagać, bo oni zostali bez dachu nad głową, bez dobytku, bez pracy”.

Było bardzo biednie, ale życie powoli się stabilizowało. Rosły wnuki i prawnuki. Ich fotografie wypełniają teraz albumy pradiadków.

Życie babci zmieniło się całkowicie po śmierci jej rodziców. W roku 2000, po pamiętnych wydarzeniach w Czeczenii, w naszej rodzinie pojawił się nowy wyłom – niepowetowana strata: w Groznych mina przeciwlotnicza pozbawiła życia brata babci, a w czasie pierwszej wojny czeczeńskiej zginął jej siostrzeniec.

Zostaliśmy bez domu, bez środków do życia i do tej pory tułam się razem z babcią ze strony matki jako uchodźca. Ona mówi, że ból oczyszcza duszę, a prawda ostrzega ludzi. W jednej tylko gałęzi czeczeńskiej rodziny znalazła odbicie historia dziesiątków, a może tysięcy rodzin czeczeńskich.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Anatolij Pristawkin, ur. w 1931 r., pisze najczęściej książki zawierające rys własnej biografii, zwłaszcza lat dzieciństwa. Przypadły one na okres wojny, autor spędził je o głodzie i chłdzie w podmoskiewskim domu dziecka, ewakuowanym następnie na Kaukaz, na tereny Autonomicznej Republiki Czeczeno-Inguskiej, brutalnie spacyfikowanej z rozkazu Stalina, gdyż miejscowa ludność została oskarżona o kolaborację z Niemcami.

Akcja książki *Nocowała ongi chmurka złota* rozgrywa się właśnie w owym czasie i miejscu, a jej bohaterami są dwaj jedenastoletni chłopcy, bracia

bliźniacy, którzy na swych dziecięcych barkach dźwigają cały koszmar wojennych losów, spotęgowany grozą przebywania pośród dzikich gór Kaukazu, gdzie ukryli się nieliczni pozostali tubylcy, bestialsko mordujący w krwawym odwecie napływową ludność, co prowadzi do wielu dramatycznych konfliktów i tragedii zrodzonych z nienawiści. Powieść odkrywa przed czytelnikiem nowy aspekt dramatu tamtych czasów, w dodatku widziany oczyma dziecka. Jest to obraz wstrząsający, krzywda rodzi nienawiść i chęć zemsty, te zaś prowadzą do zbrodni i nieuniknionego rozlewu krwi.

Jestem z tejpu „terło”

Zelimchan Irbagijew, Grozny,

szkoła nr 34, kl. 9

Pochodzę z tejpu (1) „terło”, co dosłownie znaczy „górski śnieg”: ter – góra, wierzchołek, ło – śnieg. Nazwa ta wyjaśnia, skąd wywodzi się mój ród. To tereny znajdujące się wysoko w górach, w dystrykcie itumkalińskim, na granicy z Gruzją. Osada terłojewców składała się z wielu baszt. Te bojowe baszty – jak oczy gór – niczym jaskółcze gniazda tkwią przylepione do urwistych pionowych skał, wysoko na górskich szczytach. Służyły ludziom za mieszkania, a dla wrogów były niedostępną twierdzą. Do dzisiaj zachowały się ich pozostałości.

W folklorze czeczeńskim żyje legenda o terłojewcach, w której moim przodkom przypisuje się dumę, męstwo, a także zmyślność. Jest w niej mowa o szlaku handlowym, który przecinał naszą ziemię. Terłojewcy zręcznie wykorzystywali tę sytuację i pobierali od kupców cło za przewożone tamędy towary.

Założycielem naszego rodu był mój prapradziadek Ibrahim, od którego pochodzi nasze nazwisko. Nawiasem mówiąc, nazwisko to pisane jest niepoprawnie na skutek błędu, jaki popełnił urzędnik, który w naszej wiosce przeprowadzał paszportyzację (2).

Ten prapradziadek odznaczał się przedsiębiorczością i pracowitością. Oto, co mi o nim wiadomo z opowiadań starszych. Był niegdyś silnym i mądrym młodym człowiekiem. Z rozmów z przejezdnyimi kupcami czerpał informacje o okolicznych równinach. Jako że w górach było mało ziemi uprawnej, postanowił spróbować szczęścia na terenach nizinnych. Osiedlił się w wiosce Katyr-Jurt (3), gdzie odnalazł kilku współplemieńców. Nie bał się żadnej pracy i dzięki temu szybko się zaaklimatyzował: wybudował dom, założył gospodarstwo, zajął się handlem. Kiedy dzieci podrosły, miał już swoje sklepy, młyn i tartak. Przekazawszy to wszystko swoim siedmiu synom, postanowił spełnić powinność muzułmanina i odbyć hadż (4) do Mekki. Nie wiemy, co spowodowało, że szedł pieszo tysiące kilometrów przez góry i pustynie, ale w pamięci mieszkańców Katyr-Jurtu pozostał na zawsze jako człowiek

honoru i niezwykłej pobożności, gdyż trzykrotnie w ciągu życia odbył swój hadż.

Ludzie bardzo go szanowali i skoligacenie z nim poczytywali sobie za wielki zaszczyt. Synowie Ibrahima również zasługiwali na szacunek, chociaż w życiu, podobnie jak ich ojcu, nie było im łatwo. Swoją bogobojnością świadczyli o autorytecie rodzica i kontynuowali jego dzieło, starając się uczciwie wykonywać każdą pracę. Rozrastająca się sieć należących do nich sklepów, młynów, tartaków zapewniała byt również mieszkańcom sąsiednich wiosek.

Wszystkim w tej rodzinie żyło się dobrze do czasu, kiedy Rewolucja Październikowa 1917 roku przyniosła zasadnicze zmiany. Mój pradziad, oceniwszy trzeźwo sytuację, postanowił dobrowolnie oddać nowej władzy wszystko, czego z takim trudem się dorobił. Dzieciom wyjaśniał, że „najważniejsze, by zachować rodzinę i Ojczyznę, a bogactwo – to rzecz nabyta”. W jego domach urządzono szkołę, szpital, aptekę, radę gminy i pocztę. W sklepach, młynach i tartakach nadal pracowali synowie Ibrahima, bo nigdzie nie znaleziono lepszych fachowców. Wkrótce po śmierci protoplasty rodu zaczęło się rozkułaczenie wszystkich majątniejszych włościan. Dopiero wtedy dzieci doceniły przewidywalność i rozsądne decyzje ojca. Wielu ich przyjaciół zostało pozbawionych całego majątku, zesłanych na Syberię, czy też przepadło bez wieści. A mój pradziad Sulejman i jego bracia przeżyli. Tak jak ich ojciec musieli zaczynać wszystko od nowa. Ale nie żałowali trudu. Budowali domy, wychowywali dzieci i przyzwyczajali się do nowego życia, w którym ich wrodzona przedsiębiorczość nie znalazła już zastosowania.

Przyszło nowe nieszczęście: Wielka Wojna Ojczyźniana. Ale w roku 1944 nastąpiło coś jeszcze straszniejszego: deportacja narodów – czeczeńskiego i inguskiego. W mroźne lutowe dni w stronę stacji kolejowych ciągnęły sznury furmanek i ciężarówek z wysiedleńcami. Ponad dwa tygodnie spędzili ci nieszczęśnicy w wagonach kolejowych, jadąc w nieznaną. Wśród nich było 65 członków mojej rodziny. Z głodu, zimna, antyosanitarnych warunków zaczęły się przeróżne choroby. Nie mogąc słuchać bez drżenia serca opowiadań mojego stryjecznego dziadka Abdula Irbagijewa:

„...Pociąg zatrzymał się na kilka minut. W tym czasie ludzie musieli załatwić swoje potrzeby i wynieść nieczystości. Mając na uwadze czeczeńskie zwyczaje, ludzie wstydzili się robić to na otwartej przestrzeni i odchodzili nieco dalej, a wtedy konwojenci strzelali do nich i zabijali na miejscu. W każdym wagonie umierało codziennie kilku naszych, zwłaszcza starców i dzieci. Nie pozwalano ich grzebać. Staraliśmy się przynajmniej przysypać ich ziemią czy chociażby śniegiem. Czasem konwojenci wyrzucali trupy do rowów.

Droga z Groznego do Kazachstanu usłana jest kośćmi Czeczenów i Ingusów. My też wielu nie dowieźliśmy. Leżą gdzieś tam, nie oddani matce-ziemi...”

Trudno lata deportacji wspominać bez bólu. Jest to najczarniejsza stronica naszej historii. Ginęli ci najlepsi, odstępując jedzenie i pościel swoim bliskim, którzy ostatkiem sił kopali im mogiły w zamarznętej kazachstańskiej ziemi i podejmowali się najbrudniejszych prac, aby tylko wykarmić dzieci. Tu, na obczyźnie, Czeczeni i Ingusze byli pozbawieni wszystkiego: ojczyzny, honoru, wolności i tożsamości. Byli zesłańcami pod specjalnym nadzorem.

„Początkowo miejscowi bali się nawet do nas podchodzić, - wspomina mój dziad Szadid. – Jak nam później opowiadali, dlatego, bo powiedziano im, że w wagonach towarowych jadą ludożercy, więc muszą być bardzo ostrożni. Umieszczono nas w zimnych barakach niedaleko stacji Kuzmurun w rejonie Siemioziornoje w Północnym Kazachstanie. Musieliśmy regularnie meldować się u komendanta, a bez jego wiedzy nie wolno nam było wychodzić za obręb wioski.

Pewnego razu mój kuzyn Muchadin wyszedł do sąsiedniej wsi, aby zarobić trochę grosza. Nie zdążył skończyć pracy w ciągu jednego dnia, więc tam zanocował. Drogo za to zapłacił. Został skazany na wiele lat katorgi i słuch po nim zaginął”.

Ci, którym udało się przeżyć pierwszą deportacyjną zimę, zapamiętali ją na zawsze. Wpisała się w ich pamięć stosami trupów, poukładanych warstwami, bo nie było komu ich grzebać. Zostawiła w nich swój ślad nie tylko przedwczesną siwizną, ale też ciężkimi, przewlekłymi chorobami. Krwawi nadal w ich sercach ból po śmierci tych, którzy odeszli z ich życia, nie zostawiając po sobie nawet grobów na ojczystej ziemi.

Czeczeni powoli oswajali się z nowym miejscem, pracowali, dzieci chodzą do szkoły. Życie stopniowo się stabilizowało. Mój dziadek Szadid wybudował dom i ożenił się. Zaprzyjaźnił się z sąsiadami. Tylko nostalgia za rodzinnym krajem nie pozwalała mu spokojnie żyć. Kiedy w roku 1957 został wydany Dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o rehabilitacji ofiar represji politycznych (5), dziadek był szczęśliwy jak nigdy.

Tylko trzydziestu z sześćdziesięciu pięciu terłojewców wróciło do Ojczyzny. Z ogromnych posiadłości ziemskich, które w Katyr-Jurcie należały do Irbagijewów, na pięć rodzin, które wróciły, było do dyspozycji tylko osiem morgów. Zrobiło się ciasno. I młodzież pociągnęła do miasta. Mając za sobą kilka lat życia koło stacji, szybko zdobyli kwalifikacje i otrzymali pracę na kolei. I dalej się kształcili. W dzień – praca, wieczorami – nauka, a w weekendy – budowa domu dla rodziny. Jest wśród nas wielu kolejarzy, są lekarze, inżynierowie, prawnicy, ekonomiści, przedsiębiorcy. Mieszkają w różnych stronach naszego kraju. Byłoby ich więcej, gdyby nie kolejne nieszczęścia. Niepowetowaną stratą dla nas są ci z naszych bliskich, których pochłonęła wojna, mająca swój początek w roku 1994.

Wszyscy Irbagijewowie to patrioci. Nikt nie chciał wyjechać z Republiki. Nikt też nie chciał iść z bronią w rękę przelewać krew niewinnych ludzi. Zbyt dużo łączyło naszych bliskich z Rosją: nauka, wojsko, praca, więzy rodzinne i przyjaźnie. Każdy, kto przeszedł przez wojsko wie, że żołnierz to człowiek ubezwłasnowolniony, wypełnia tylko rozkazy. Idąc za przykładem swoich znajomych, dziesiątki młodych ludzi z naszego rodu mogły chwycić za karabiny, ale na mityngu rodowym starszyzna zdecydowała: każdy, kto weźmie do ręki broń, zostanie wykluczony z rodziny. Młodzi podporządkowali się. Być może, decyzja ta uratowała życie wielu rosyjskim żołnierzom, ale nie oszczędziła naszych bliskich. Jak mówią, kula nie wybiera. Niektórzy z moich krewnych zginęli w czasie ostrzałów artyleryjskich i nalotów bombowych, a innych dosięgły zabłąkane kule. Najgorszy los przypadł w udziale czterem moim krewnym.

Było to w końcu listopada 1999 roku. Wujek, Has-Mahomed razem z krewnymi wiół ciało zabitego członka rodziny, Aśłana, aby pochować go w rodzinnej wiosce. Nie dojechali do wioski Katyr-Jurt, bo na ostatnim zakręcie zaczął ostrzeliwać ich czołg. Wskoczywszy z samochodu, wujek, z białą chustką w dłoni, ruszył w stronę żołnierzy, wołając: „Nie strzelajcie! Tu są kobiety i dzieci!”. Do swej ostatniej godziny wujek pozostał człowiekiem posłusznym prawu i naiwnie wierzącym, że niewinnej głowy miecz się nie ima. Strzelanina trwała dalej. Wujek padł,

podziurawiony jak sito. Ciężko ranna została wdowa po Asłanie, która jeszcze jakimś cudem zdążyła wytaszczyć z samochodu swe małe dzieci, też ranne, i doczołgała się razem z nimi na bezpieczną odległość. Samochód wyleciał w powietrze. Gdyby nie przypadkowy świadek, ta straszna zbrodnia pozostałaby nieznana, a ciała krewnych – niezidentyfikowane. Żołnierze podeszli do płonącego samochodu i rzucili do ognia zastrzelonego przez nich wujka Has-Machmeda (6). Tej tragedii nie przeżył dziadek Szadid. Jego serce biło jeszcze tylko kilka dni, kiedy przychodzili do niego ludzie z kondolencjami. W tym czasie wszystkie drogi dojazdowe do Katyr-Jurtu pozostawały zamknięte. Tak więc ani mój ojciec, ani jego bracia, nie mogli towarzyszyć ojcu w jego ostatniej drodze. Tylko wujek Hasan, który miał wtedy 21 lat, próbował dostać się do wioski, ale został śmiertelnie ranny. Ich groby są obok siebie...

Teraz już nas nie bombardują. Ale ludzie nadal giną. Nie wiadomo, kiedy ta wojna się skończy. Tymczasem my, powróciwszy na zgliszcza, próbujemy żyć dalej.

Jeśli mi się poszczęści, to ja też skończę szkołę, zdobędę zawód, zacznę pracować. Ale oczywiście, w pierwszej kolejności odbuduję dom.

Przypisy:

(1) Tejp to klan, wielopokoleniowa wspólnota rodowa wywodząca się od jednego wspólnego, często mitycznego przodka. Obecnie tejpów jest ponad 150. Wraz z odrodzeniem narodowym przynależność do teju stała się ważnym wyznacznikiem identyfikacji. Każdy powinien znać swój tejp, w którym wszyscy powinni się szanować, a w przypadku zemsty rodowej cały tejp powinien stanąć po obronie swojego krewnego. Każdy tejp, według tradycji, posiada swą rodową górę, z wybudowaną na niej rodową wieżą, w której kiedyś mieszkali przodkowie.

(2) W czasie paszportyzacji zapisywano imię i „otczestwo” (imię ojcowskie), tak jak słyszano. Wielu Czeczenów nie miało nazwisk ani rodowych przezwisk, więc tworzono im nazwiska od imienia przodka (np. Wach – Wachajew, Wisa – Wisajew itd.). W tym wypadku „Ibragimow” zapisano jako „Ibragijew”

(3) Katyr-Jurt – wioska na równinie w dystrykcie Aczchoj- Martanowskim.

(4) Hadż to peregrynacja do świątyni Al Kaaba (Dom Boga) w Mekce w miesiącu Zu Al Hidżdża i wykonanie na miejscu określonych przez islam czynności przez tych muzułmanów, których stać na podróż. Każdy muzułmanin musi odbyć pielgrzymkę przynajmniej raz w życiu. Hadż jest aktem pobożności, jest ibadań. Ibadah to jakkolwiek czyn wykonany z myślą o osiągnięciu łaski Bożej.

(5) Dekret z 1957 roku ustanawiał Czeczeńsko-Inguską ASRR. Ustawa o rehabilitacji ofiar politycznych represji została wydana znacznie później, w roku 1991.

(6) Byli jeszcze inni świadkowie. Tę tragedię widzieli też mieszkańcy wioski Jandi, zaraz za zakrętem. Jeden z nich zeznał: „14 listopada 1999 roku koło posterunku blokadowego między Katyr-Jurtem a Jandi, w centrum dystryktu Achczoj-Martan wojskowi zabili i spalili czterech ludzi, wiozących zwłoki krewnego, zamordowanego w Inguszetii, aby go pochować. Wydarzyło się to w miejscu, gdzie ustawiono posterunek blokadowy. Żołnierze bez uprzedzenia otworzyli ogień do nadjeżdżającej <Gazeli>. Znajdujący się w samochodzie ojciec i syn Has-Mahomed i Aślan Astamirowowie, brat Has-Mahomeda, Abdurahman Astamirow i jeszcze jeden człowiek, którego imienia nie znam, zginęli na miejscu. Z wnętrza pojazdu, który gwałtownie się zatrzymał, wyskoczyła, z małym dzieckiem na rękach i 5-letnim synkiem, Aset, żona Aślana, i ukryła się w przydrożnym rowie. Wszyscy byli ranni. Kobieta płakała i błagała żołnierzy, którzy do niej podeszli: «Na Allacha, darujcie nam życie!». Wsadzono ją razem z dziećmi do batera (pojazdu opancerzonego) i zawieziono do Sleprowska w Inguszetii. Zabitych mężczyzn żołnierze spalili razem z samochodem, w którym spłonęły również zwłoki człowieka, którego chciano pogrzebać na cmentarzu w naszej wiosce”.

W niezgodności nazwisk (Ibragijewowie i Astamirowowie) nie ma niczego dziwnego. Zelimchan nazywa zabitego Has-Mahomeda „wujkiem”, ale to mógł być wujek ze strony matki lub (zgodnie z czeczeńską tradycją podtrzymywania więzi z dalszymi krewnymi w „wielkich rodach”) wujek z drugiej, czy nawet trzeciej linii; nazwiska takich dalekich krewnych mogą się wyraźnie różnić.

Mieszkaniec wioski mówi o posterunku blokadowym, a Zelimchan (pewnie wg relacji ocalałej Asiet) pisze o „czołgu”. Czeczenka mogła nie orientować się w sprzęcie wojskowym i nazwać tak jakikolwiek samochód bojowy. Tego dnia dopiero zaczęło się urządzenie posterunku blokadowego, więc żadna ciężka broń nie została tam jeszcze zainstalowana. Posterunek mógł rzeczywiście wyglądać jak stojący na poboczu samochód bojowy.

Znowu wojna

Milana Katajewa, dystrykt szaliński,

wioska Mesker-Jurt, kl. 10

Chcę opowiedzieć o swojej rodzinie. Zaczyna się ona historią moich pradiadków. Prababcia – rocznik 1885 – zmarła w roku 1972, zaś pradiadek, urodzony w roku 1880, znający biegle język arabski i Koran, w epoce stalinowskiej, w roku 1937 został osadzony w więzieniu i na długo przepaść bez wieści. Mój dziadek nie ustawał w jego poszukiwaniach: zwracał się do różnych urzędów, słał pisma, a odpowiedzi na nie po dziś dzień są przechowywane w naszym domu. W roku 1958 pradiadek został zrehabilitowany. Z opowiadań prababci dowiedzieliśmy się, że przez długi czas nosiła mu paczki, których jednak mu nie przekazywano. Więzienie znajdowało się wtedy naprzeciwko kina „Kosmos”, nad brzegiem rzeki Sunża. Z relacji byłych więźniów i współtowarzyszy niedoli pradiadka wiemy, że strasznie ich tam bito i znęcano się nad nimi.

Pradiadek – Towsolt Biersanow – był delegatem na II Ogólnorosyjski Zjazd Narodów Górskich, który odbył się w Moskwie w roku 1918.

Czas mija i nadchodzi rok 1944. Moich dziadków wysyłają, tak jak innych Czeczenów, do Azji Środkowej. Tak o tym opowiada moja babcia, Mariet:

„Wczesnym rankiem w dniu wysyłki wszystkich mężczyzn w wiosce Mesker-Jurt zebrano w meczecie. Niektórzy próbowali ukryć się w swoich obejściach, ale znajdowali ich tam rozwścieczeni żołnierze, nie zwracając uwagi na rozpaczające kobiety i płaczące dzieci. Krzyczeli: «Jest rozkaz – trzeba go wykonać!» i ładowali wszystkich, jak by było, na ciężarówki.

Nie dopuszczano mnie do dzieci, płakałam, błagałam, w końcu złapałam dwóch maluchów i podeszłam do trzeciego, leżącego w kołysce. Mieliśmy w domu mały zapas jedzenia i co-nieco kosztowności. Chciałam to zabrać, ale mi nie pozwolono. Jeden z żołnierzy ujął się za mną i trochę z tych rzeczy wsunęłam za pazuchę, ale kobieta w mundurze, stojąca przy drzwiach, wyrwała mi je, oskarżając mnie o rabunek mienia państwowego. Dzieci, razem z tym w kołysce, wsadzono na samochód, Uprosiłam, by mi pozwolono zabrać worek mąki kukurydzianej.

Zawieziono nas do Kirgizji. A ten worek mąki zabrano nam jeszcze w drodze. Moja rodzina została bez jedzenia. Znaleźliśmy się na obcej ziemi mąż, ja i nasze dzieci: Muchadi – rocznik 1938, Chawa – 1941, Baudi – 1943. Spędziliśmy tam 13 lat. Wymieniłam swój szal na pół worka mąki, a kobieta kirgiska dodała do tego jeszcze trochę mięsa, chociaż tubylcy też nie mieli łatwo. Ta kobieta patrzyła na nas i płakała. Zaczęliśmy siać kukurydzę, budować domy z cegły saganowej (niepalonej, z gliny i siecarki), ceramicznej dachówki też nie było. Żeby deszcz nie przeciekał do wnętrza, trzeba było wychodzić na dach i zamazywać szczeliny gliną.

Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się do krewnych. Tam mąż dostał posadę nauczyciela, jako że przed wysiedleniem pracował na stanowisku dyrektora szkoły w Mesker-Jurt.

Któregoś dnia poszłam po wodę, a za mną podążyła moja córeczka Chawa. Nie pozwoliłam jej iść dalej za mną i kazałam wracać do domu. Ale ona nie umiała odnaleźć drogi powrotnej i zabłądziła. Szukaliśmy jej przez trzy dni i w końcu znaleźliśmy w rodzinie Kirgizów, która ją przygarnęła. Chawa zdążyła już jeden swój kolczyk wymienić na dynię.

Na kirgiskiej ziemi pochowałam siedmioro dzieci. Na barkach moich i męża spoczywała jeszcze jedna rodzina. Rodzina mojego brata i moja mama. Brat zmarł na gruźlicę, a dwa lata później pogrzebałam też drugiego brata. Zostało więc wiele sierot.

Staruszka-matka nie mogła pracować, by wykarmić siebie i wnuki, które były jeszcze bardzo małe. Za dnia obrabiałam swoje pole, a nocami, przy świetle księżyca, pracowałam na gospodarstwie matki. Tak było przez te wszystkie lata.

W tym czasie dzieci podrosły, a nam dano pozwolenie na powrót do domu.

W roku 1957 przyjechaliśmy z powrotem na swoją odwieczną ziemię. Starszego syna zabrano na trzy lata do wojska. W roku 1966 w wieku 16 lat zmarła moja córka, Tabarak, rocznik 1949. Tak więc pochowałam wszystkich swoich krewnych i bliskich mi ludzi."

Tak kończy się opowiadanie babci. A ja kontynuuję pisanie historii mojej rodziny i opowiem o swoich przeżyciach.

W roku 1994 zaczyna się wojna, nastają ciężkie dni dla narodu czeczeńskiego, o wiele trudniejsze niż wysiedlenie z Czeczenii. Wokół ruiny, choroby, śmierć niewinnych ludzi. W roku 1996 nastąpiła mała przerwa, kiedy ogłoszono zawieszenie broni: przyjechał generał Lebed' i zawarł traktat Chasawjurtowski. Ludzie płakali ze szczęścia.

Nadchodzi jednak rok 1999. Znowu wojna. Rozpętało się piekło: potworne ataki, samoloty zrzucają bomby na niewinnych ludzi, na miasta i wioski. Wszyscy żyją w oczekiwaniu śmierci. Od tego czasu babcia zaczęła podupadać na zdrowiu, traciła wzrok.

To, co przeżyliśmy w roku 2002 – niezliczone „zaczystki” (1) – kazało zapomnieć przeżyte dwie wojny, zesłanie do Kirgizji i pozostawiło ślad na całym dalszym życiu. Pisząc to, myślę sobie: czyżby czekało nas jeszcze coś straszniejszego? Modlę się do Allacha, żeby to się już nigdy nie powtórzyło.

Taką oto rolę odegrała moja rodzina w historii swojego narodu. Nie chcę, aby ta historia się powtórzyła, nie chcę tracić kolejnych moich krewnych i bliskich mi ludzi. Nie chcę widzieć poniżenia mojego brata Jakuba, ani też w oczach moich sióstr Chadiżat i Madiny.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Mesker-Jurt – wioska na nizinie, na południowy wschód od Groznego; mieszkańcy uprawiają ogrody, uprawiają warzywa. Aż do roku 2002 rzeczywiście miały tu niejednokrotnie miejsce „zaczystki”, a najokrutniejsza z nich była przeprowadzona przez ugrupowanie sił federalnych od 21 maja do 11 czerwca 2002 roku. W trakcie tej „zaczystki” było zatrzymanych i „zniknęło” 21 ludzi.

Zaczystka - podstawowy proceder uprawiany w Czeczenii przez wojska federalne (zwłaszcza wojska MSW oraz oddziały specjalne, jak OMON, SPECNAZ, Alfa) - wygląda na ogół tak: o różnych porach dnia i nocy wieś zostaje otoczona przez kordon czołgów, samochodów pancernych i ciężarówek wojskowych, wśród których jest też przeznaczony do tortur „samochód filtracyjny”. Najłagodniejszy przejaw zaczystek to grabież wszelkiego mienia - od samochodów, lodówek, telewizorów i żelazek, po biżuterię, bieliznę, ubrania czy garnki. I - oczywiście - pieniądze.

(www.aferyprawa.com/terror-czeczenia.html)

Jestem Czeczenką, córką Czeczenów

Malika Magomadowa, dystrykt kurczałojewski,

wioska Giełdagan, szkoła nr 1, kl. 10

Wkrótce skończę piętnaście lat. To dużo, czy mało? To niewiele, jeżeli wziąć pod uwagę ilość przeżytych lat, ale bardzo wiele, jeżeli policzyć to, co się zobaczyło i usłyszało w ciągu ostatnich lat. Jestem Czeczenką, córką Czeczenów dumnych ze swego pochodzenia i przynależności do swego narodu. Jestem siódmym pokoleniem rodziny Gemy z rodu Tumsoj. Syn Gemy - Oła, syn Oły-Gazimachma, następnie Magomed-Ali i w końcu mój ojciec Sałam – to moi przodkowie.

Na każde z tych pokoleń przypadła jakaś wojna. Gema uczestniczył w tym rozdziale historii swojego narodu, która traktuje o szejku Mansurze. Jego syn Oła żył w czasach wojny kaukaskiej i zginął w roku 1860. Syn Oły – Gazimachma był świadkiem wydarzeń w latach 1877-1878. Mój pradziad, syn Gazimachmy – Magomed Gazimagomajew – doznał w całej pełni „rozkoszy” wojny. Wstąpił jako ochotnik do czeczeńskiego pułku tuziemnej dywizji, zwanej w Rosji „Dzika” i walczył z Niemcami w pierwszej wojnie światowej.

Z opowiadań dziadka, Alego Magomadowa dowiedziałam się, że pradziad zdobył wiele odznaczeń za swe bohaterstwo i odwagę. Magomed, służąc w pułku wajnachów, brał udział w rozgromieniu niemieckiej żelaznej dywizji. W archiwum rodzinnym przechowuje się odpis telegramu Naczelnego Dowódcy Armii Rosyjskiej – cara Mikołaja II – z dnia 25 sierpnia 1916 roku, adresowanego do generalnego gubernatora okręgu terskiego, pana Flejmera. Czytamy w nim: „Jak górską lawinę ruszył pułk czeczeński na niemiecką żelazną dywizję. Wspomagał go pułk inguski. W całej rosyjskiej historii, jak również w historii naszego pułku przeobrażeńckiego nie było drugiego takiego ataku konnicy na armię wroga, uzbrojoną w ciężką artylerię – zginęło 4,5 tysiąca żołnierzy, 3,5 tysiąca wzięto do niewoli, a 2,5 tysiąca zostało rannych. W ciągu półtora godziny przestała istnieć <żelazna dywizja>, której bały się wojska naszych sojuszników, a nawet armia rosyjska. Przekażcie w moim imieniu, w imieniu dworu carskiego i w imieniu rosyjskiej armii serdeczne braterskie pozdrowienie ojcom i matkom, braciom i siostram tych dzielnych orłów Kaukazu, którzy swoim zwycięstwem położyli kres germańskim hordom. Rosja nigdy nie zapomni im tego bohaterskiego czynu. Cześć im i chwała. Z braterskim pozdrowieniem Mikołaj II”.

Możliwe, że car rzeczywiście nie zapomniał o bohaterskich czynach mojego pradziada Magomeda, od którego bierze początek moje nazwisko – Magomedowa.

Ale w Rosji zaczęła się rewolucja, a potem wojna domowa. Bojownicy czeczeńscy nie chcieli brać udziału w mordowaniu robotników rosyjskich w Petersburgu i wrócili do swych domów, do Czeczenii.

Jednak pożar rewolucji gorzał i tutaj. Mój pradziad uwierzył obietnicom bolszewików i wziął udział w walce z kontrrewolucją razem z Ałanbekiem Szeripowem, Nikołajem Gikało i ich towarzyszami broni (1).

Koniec wojny domowej też nie przyniósł pokoju. Działały bandy maruderów i rebeliantów, z którymi przychodziło walczyć Magomedowi Gazimagomajewowi. Jak opowiadają mój dziadek i ojciec, znalazł się on w gronie pierwszych Czeczenów, przedstawionych do odznaczenia Czerwonym Sztandarem Bojowym. Potem pracował jako dyrektor sanatorium i na innych jeszcze stanowiskach.

W końcu lat 30. na kraj spadło nowe nieszczęście – epoka stalinowskich represji. Pradziadek został aresztowany po uprzednim okrzyknięciu go „wrogiem ludu” i znikł bez śladu. Dopiero w roku 1961 komisja Rady Najwyższej ZSRR gruntownie zrewidowała jego sprawę i poinformowała, że Magomed Gazimagomajew zmarł w marcu 1941 w obozie na wyspie Nowa Ziemia (2).

A co działo się z dziadkiem? Jako nauczyciel nie podlegał służbie wojskowej i kiedy zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana pozostał na swym stanowisku. Jednak na jego własne życzenie został wcielony do armii jesienią 1943. Razem z innymi towarzyszami broni odbył szkolenie wojskowe i czekał na wysłanie na front. Ale w pierwszych dniach lutego 1944 ich jednostka została rozwiązana. Jako że armii potrzebny był chleb i inne artykuły rolne, żołnierze otrzymali rozkaz uprawiania ziemi. W tym celu wszystkich Czeczenów, Bałkarców i Karaczajewców zwolniono czasowo do domów, aby wezwać ich ponownie po zakończeniu prac polowych.

Okazało się to przygotowaniem do wysiedlenia. 23 lutego 1944 rodzina Magomadów, tak jak pozostali Czeczeni, została wywieziona do Kazachstanu. Trudno opisać, co działo się z ludźmi w drodze i w pierwszych latach po przybyciu na miejsce zesłania. Powiedziano już o tym bardzo dużo.

W roku 1957 rodziny moich rodziców wróciły do Czeczenii. Wydawało im się, że wszystkie udręki mają już za sobą.

Przez parę dziesięcioleci wszystko układało się pomyślnie. Rodzice pracowali w szkole, siostry studiowały na uniwersytecie, a bracia byli jeszcze uczniami. Ja w roku 1994 chodziłam do pierwszej klasy. I wtedy spadło na nas wielkie nieszczęście – zaczęła się wojna.

W telewizji pokazywano obrazy potwornych zniszczeń i zagłady ludzi. Wojna przyszła szybko również do naszego rejonu. Razem z braćmi – uczniami czwartej i siódmej klasy, mamą i babcią-starowinką, ewakuowaliśmy się z Groznego i staliśmy się uciekinierami.

Skierowaliśmy się do wioski Chidi-Chutor w dystrykcie nożaj-jurtowskim, myśląc naiwnie, że skoro nie ma tam wojsk Dudajewa, to nie będzie strzelaniny. Myliliśmy się. Już drugiego dnia po naszym przybyciu zaczęły się bombardowania i ostrzał artyleryjski. Na drodze prowadzącej do wioski zbombardowano kolumnę uchodźców. Dziesiątki niewinnych ludzi zostało zabitych i rannych

Po kilku dniach przedał się do nas ojciec i wywiózł nas do wioski Gełdagan. Tam spędziliśmy całą pierwszą wojnę czeczeńską, chowając się na czas ostrzałów i nalotów po piwnicach.

Dobrze chociaż, że dziadek nie musiał tego oglądać. Umarł jeszcze w roku 1990.

Wojna się skończyła i odetchnęliśmy z ulgą. Ale w roku 1999 zaczęła się nowa, jeszcze straszniejsza.

Znowu babcia-staruszka wraz z moim bratem Achmedem, już studentem uniwersytetu, uciekała z Groznego do nas, do Gełdaganu. Mieszkaliśmy na skraju wioski, gdzie parę miesięcy spędziliśmy w piwnicy, wstawivszy tam żelazny piecyk. Tato o mało nie zginął, kiedy pojechał do Groznego, by zabrać coś do ubrania dla babci. Jej dom był poważnie zniszczony. Nie miał dachu, okien, drzwi i tylko częściowo udało się go później odbudować na tyle, by można było tam nocować. Zrobiliśmy to jedynie dla 80-letniej babci, która prosiła nas i zaklinała, by dać jej możliwość przenocowania od czasu do czasu w domu, w którym przeżyła kilka dziesięcioleci.

Biedna babcia! Przepracowała 40 lat i niczego się nie dorobiła, nie zgromadziła żadnych bogactw i ten dom był jej jedynym majątkiem. Czymże zawiniła? Całe życie pracowała z Rosjanami i Tatarami. Ani ona, ani nikt z naszej rodziny, nie żywili niechęci do ludzi innej narodowości.

Mój siostrzeniec Wacha tak bał się nalotów bombowych i ostrzałów artyleryjskich, że siostra musiała wywieźć go do Tiumentia. Tam tułała się całe dwa lata i w końcu wróciła do domu. Ale Wacha, który skończył już pięć lat, na odgłos wystrzałów zawsze biegnie do domu i chowa się za swojego dziadka – mojego ojca. Na skutek tych drastycznych przeżyć ciężko zachorował na serce i jest teraz poważnym inwalidą. Za co musi tak cierpieć, czym zawiniło to biedne dziecko?!

Ojciec stracił w ciągu tych lat wujka, kuzynów, siostry i szwagierkę. Całkowicie zostały zniszczone domy pięciu jego wujów i dwóch kuzynów. A przecież żaden z nich nie był bojownikiem. Zarabiali na życie ciężką pracą.

Takie obrazy można oglądać w naszym kraju w wielu rodzinach: czeczeńskich i rosyjskich. Cała ich wina sprowadza się do tego, że są mieszkańcami Republiki Czeczeńskiej.

Nie chcę tu mówić o drastycznych doświadczeniach mojej rodziny, jakich jej członkowie doznali w wyniku kontroli i „zaczystek”, bo mam nadzieję, że to wszystko mamy już za sobą. Inaczej po co przeprowadzano by referendum i wybory prezydenckie?! Mam nadzieję, że wcześniej czy później ci wszyscy przestępcy, którzy tysiące niewinnych ludzi doprowadzili do zguby, poniosą zasłużoną karę.

Mówię o losie mojej rodziny jako o części historii naszego narodu. Moi rodzice robią wszystko, abyśmy – piątka ich dzieci – otrzymali solidne wykształcenie. Tato uważa, że naród powinien przede wszystkim podnosić

poziom edukacji, aby nikt nie mógł nimi manipulować, i ja się z nim zgadzam.

Dwóch moich braci i siostra ukończyli szkoły z wyróżnieniem. Starsza siostra jest absolwentką technikum i pracuje w szpitalu. Rozpoczęła studia na uniwersytecie, ale z powodu wojny musiała przerwać naukę. Druga siostra skończyła uczelnię pedagogiczną i pracuje w szkole. Bracia studiuja: jeden na Czecheńskim Uniwersytecie, a drugi w Instytucie Naftowym (3). Ja muszę najpierw ukończyć szkołę, a potem studia uniwersyteckie, aby przynieść ojczyźnie jak najwięcej korzyści.

Mój ojciec ukończył z wyróżnieniem nasz uniwersytet i otrzymał tytuł zasłużonego nauczyciela czecheńskiej Republiki. Chylę też czoła przed moją matką, która przez wzgląd na nas, swoje dzieci, zrezygnowała z kontynuowania wymarzonych studiów.

Niechaj wszyscy ojcowie i wszystkie matki będą wreszcie szczęśliwi i nigdy już nie oglądają tego, na co musiała patrzeć i przeżywać moja rodzina i ja!

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Astanbek Szeripow (1897-1917), Czeczen, i Nikołaj Fiedorowicz Gikało (1897-1938), Ukraińiec – uczestnicy walki o władzę radziecką na Kaukazie; razem z innym komisarzem – Inguszem, Gaurem Achrijowem (1890-1920) uwiecznieni zostali w kompozycji rzeźbiarskiej „Przyjaźń narodów” na placu o tej samej nazwie w Groznm.

<!--[if !supportLists]-->(2) <!--[endif]-->Wbrew tej wypowiedzi, informacja o śmierci M. Gazimagomajewa na Nowej Ziemi w roku 1944 nie pokrywa się z rzeczywistością. Tam nie było żadnych obozów – mimo powszechności tych podań nie udało się znaleźć oficjalnych dokumentów, potwierdzających występujące w nich fakty. Istnieją jedynie drugorzędne świadectwa – ustne relacje w oparciu o niesprecyzowane wcześniejsze wypowiedzi, których nie można sprawdzić. Prawdopodobnie Gazimagomajew został rozstrzelany pod koniec lat trzydziestych, a krewnym, zgodnie z obowiązującą instrukcją, podano nie tylko błędną datę i przyczynę śmierci, lecz także (co jest rzadkością) zmyślane miejsce – obóz na Nowej Ziemi.

<!--[if !supportLists]-->(3) <!--[endif]-->Działalność uniwersytetu, instytutu naftowego i instytutu pedagogicznego, przerwana w jesieni 1999, została wznowiona już we wrześniu 2000.

Gdzie ja zbiorę swoje dzieci?

Karina Jusupowa, rejon nurski,

stanica Miekenskaja, kl. 10

Jesień. Deszcz... Siedzę opatulona na tapczanie. W domu nie ma nikogo ... Gdzieś tam rozległ się wybuch... Nie wiem dlaczego przypomniała mi się moja babcia Azimat. Mieszkała kiedyś z nami. My, wnuki, lubiliśmy siadać dookoła niej i słuchać jej opowieści. Całe jej życie to opowieść o ciężkich czasach, będąca zarazem historią naszego narodu, naszej Ojczyzny.

Listopad 1999 roku, Czeczenia. Niewielka nizinna wioska w dystrykcie sunżeńskim. Mieszkańcy pochowali się do piwnic i lochów. Nie wiedzieli, przerażeni, co mają robić, gdzie się podziać. Pociski spadały na wioskę jak ulewa. Eksplozje wstrząsały jej dzielnicami. W małym garażowym kanale siedziały dzieci z kilku rodzin, a dorośli chowali się po kątach garażu. Zdawało się, że wkrótce zawali się dach i wszystkich pogrzebie. Nie zdążyli na czas wyjechać. Do końca nie wierzyliśmy w taką niełudzkość i kolejny raz pokładaliśmy nadzieję w humanitaryzmie decydentów. A teraz zamknęli drogę i zasypują tych, którzy nie zdążyli wyjechać za granice Czeczenii, gradem pocisków.

Azimat, okutana w chusty, siedziała w zimnym kącie garażu. „Czy ta wojna kiedyś wreszcie się skończy?” – pytała samą siebie. „W dzieciństwie pozbawiono mnie ojca tylko za to, że chodził modlić się do meczetu. Był najlepszym ojcem na świecie - mówiła swoim dzieciom. - Aresztowano go w 1942 w meczecie w czasie południowej modlitwy, oskarżono o «antyradziecką propagandę», chociaż był tylko prostym chłopem. Jednak nigdy już nie wrócił. Nikt też nigdy się nie dowiedział, dokąd, w jakim kierunku go wywieźli.

A mama? Ileż przykrości i cierpień doświadczyła! Kiedyś, wczesnym rankiem, jeszcze przed wysiedleniem, na podwórzu weszło kilku mundurowych, a wśród nich również mieszkaniec naszej wioski. Żądali siana dla kołchozowego bydła. Mama odważnie podeszła do nich i zaprotestowała: «Nie pracuję z moimi dziećmi, bez męża, na kołchozowe bydło. Tylko po moim trupie dostaniecie to siano»”.

Rozzłoszczony żołnierz chwycił za kindżał. Azimat krzyknęła przerażona. Bała się, że zaraz zabije dziecko, którego mama oczekiwała. Ale napastnicy, widząc, że od tej kobiety niczego nie dostaną, odeszli.

Babcia wspominała, jak to w roku 1940 pewnej nocy, po kryjomu, chowali jej dziadka, który, jako kułak, został zesłany na Syberię. Tam ciężko zachorował i udało się potajemnie przywieźć go do domu, gdzie zmarł po kilku dniach.

Tego samego dnia aresztowano, bez podania powodu, jedyne go brata babci, więc nie mógł już sam pogrzebać swego ojca. Tak oto w ciągu jednego dnia moja babcia straciła i ojca, i brata.

Wspomnienia przerwał warkot samolotu. Z napięcia zaschło mi w gardle... - rozległ się przeraźliwy świst, a potem potężna eksplozja, po której nastąpiło jeszcze kilka mniejszych wybuchów. Azimat nie myślała o sobie, ale o wnukach, które, przytulone do siebie, kuliły się w zimnym kanale garażu i czekały, kiedy wreszcie nastąpi cisza.

Martwiła się głównie o starszą wnuczkę, która nie chciała wejść do lochu, bo twierdziła: „Tam jest jak w grobie, wolę umierać na górze”.

Azimat znów powróciła do świata swego odległego dzieciństwa i patrzyła z góry na wnuki, które siedziały w kucki, bo w kanale nie było miejsca, by się położyć. Właśnie były tak samo małe jak ona, kiedy razem z mamą i rodzeństwem załadowano ich do wagonu i wysłano hen, daleko. Obcy kraj, inni ludzie, brak własnego kąta – nie mieli niczego. W kraju głodu i cierpień, bez męża, ojca czy brata mama pochowała swe najmłodsze dzieci: córeczkę i synka. Nie mieli gdzie mieszkać ani co jeść. Mama wykopała jamę, w której zamieszkali. Zimno i głód były przyczyną śmierci jej dzieci.

Tu, w Kazachstanie, miejscowa ludność również przymierała głodem. Wszystko wysyłano na front, aby przybliżyć dzień zwycięstwa.

Któregoś dnia, pierwszego lata na zesłaniu, Azimat razem z innymi dziećmi pobiegły na kołchozowe pole, by zerwać kilka kłosów pszenicy. Idąc, żuli je i szybko połykali. „Nikt nie zobaczy, co masz w brzuchu i tego ci nie odbiorą”, - rozumowali. Wartownik, zobaczywszy dzieci, pognął za nimi. Ci więksi zdolali uciec, ale mała Azimat została dotkliwie pobita powozem i ledwo dopeźła do domu.

I znów przypomniała jej się mama, kobieta niezwykle kondycji fizycznej, która pomagała wszystkim i wszędzie. Stała się „atamanem” kobiet z całej okolicy. Liczono się z nią i nawet mężczyźni przychodzili do niej po radę. Była lubiana, szanowana, ale niektórzy się jej bali. Zwłaszcza ci, którzy popełniali jakieś karygodne czyny. Jeżeli coś takiego miało miejsce, zwoływała przez gońca wszystkich małaolatów. Wówczas najpierw dyskutowano na forum o zaistniałej sytuacji, a potem moja prababcia rozmawiała w cztery oczy z każdym winowajcą. Była zatem ojcem i matką dla tych dzieci wojny.

Kobieta ta ośmieliła się nawet rzucić chustę przed radzieckim sądem, kiedy ten skazywał niewinnego człowieka. Oskarżony miał pecha: w czasie burzy śnieżnej (a zima była wyjątkowo ciężka) zgubił część kołchozowego stada. Prababcia przekonywała sąd, że inni ludzie pomogą „przestępcy” pokryć straty, i błagała, by nie łamać człowiekowi życia. Sąd okazał się głuchy na tę prośbę i nie zrozumiał jej gestu. Postąpiła zgodnie z pięknym kaukaskim obyczajem – użyła „chusty pokoju” na znak zawarcia zgody między zwaśnionymi stronami. Skazany nie wrócił, zmarł w więzieniu.

Azimat wspominała, jak po drugiej wojnie światowej przyjechała na Kaukaz w nadziei, że odzyska swoją historyczną Ojczyznę. Wracając do domu pociągiem, z dziećmi i wnukami, kolejny raz poczuła się poniżona i znieważona. Dziewięciu ludzi, wśród których była szóstka dzieci, na każdej stacji dokładnie kontrolowano tylko dlatego, że byli narodowości czeczeńskiej. Azimat próbowała zawstydić milicjanta: „Gdy miałam sześć lat wywieźliście mnie jako bandytę i wracam jako sześćdziesięciolatka, znowu jak bandyta. Powiedz, o jakie przestępstwo oskarżacie mnie i te małe dzieci?”.

Może nie warto było kupować tu domu i przywozić dzieci? Ciężko było podjąć postanowienie o powrocie. Ludzie, z którymi przeżyła lata zesłania, odradzali jej wyjazd do Czeczenii, gdzie jeszcze nic się nie ustabilizowało. Ale na tej umęczonej ziemi mieszkały już jej dzieci. Główną rolę w podjęciu decyzji odegrała nie tylko obawa o nie, ale marzenie o odzyskaniu swojej Ojczyzny.

Powróciwszy w latach sześćdziesiątych, nie otrzymali zgody na zamieszkanie w swojej rodzinnej wiosce. Te rodziny, które próbowały żyć w swych dawnych miejscowościach, zostały w roku 1964 przesiedlone na tereny nizinne Czeczenii, a ich domostwa – zburzone (1).

Azimata bała się o córki i syna, którzy pozostali w Groznm. Serce się kroiło, a przez głowę przebiegały najróżniejsze myśli. Miasto Grozny – jego konające szczątki, skutki pierwszej wojny – teraz dobijano, próbując zrównać go z ziemią. A tam, w tym piekle – jej dzieci – w oblężeniu, pod bombami i ostrzałem artyleryjskim. Wojna porzuciła je. Druga córka, mieszkająca ze swą rodziną na przedmieściu Groznego, została najciężej dotknięta okrucieństwami wojny. Straciła tam ojca swoich dzieci. „Kiedy i gdzie zbiorę wszystkie swoje dzieci? Czyżby na ziemi naszych ojców nie było dla nas miejsca?” – zastanawiała się babcia.

W czasie szturm na Grozny straciła swojego najmłodszego, siedemnastoletniego syna. Na piechotę przeszła całą górzystą część Czeczenii, spotykając po drodze całą armię podobnych jej kobiet, szukających swoich dzieci. Bezbarwne, „prześięknięte wojną”, nie zwracające uwagi na ostrzał, na płonące i obracające się w popiół ruiny wiejskich zagród, ani na żadne inne zagrożenia, szukały wśród tysięcy zabitych ciał swoich córek i synów.

Po ośmiu miesiącach odnalazła syna – teraz już dorosłego, nad wiek poważnego, surowego i twardego mężczyznę.

Azimata spotykała też matki, które samotnie wracały z poszukiwań swoich dzieci. Nie znalazły ich wśród żywych i pochowały je. Zdarzały się matki, które pogrzebały naraz dwoje lub troje dzieci. Ze smutkiem wspominała kobietę, która straciła jednocześnie czterech synów. Nie daj, Boże, nigdy żadnej matce przeżywać podobną tragedię!

Babcia, która marzyła, by żyć w swej Ojczyźnie, teraz, widząc tu jedynie okrucieństwo i przemoc, chciała zebrać swoje dzieci i uciekać jak najdalej od tej samowoli. „Jest gorzej niż w roku 1944!” – twierdziła.

W roku 2000 Azimata wyjechała do Kazachstanu. Po raz drugi jechała do kraju, który był miejscem jej dawnego zesłania. Jak setki tysięcy jej rodaków uciekała, wypchnięta ze swojej Ojczyzny. Ale obawa o dzieci i wnuki, które zostały w Czeczenii, nie opuszcza jej do dziś.

Ja, piętnastoletnia wnuczka Azimata, myślę: „Na prześladowania skazani byli moi pradziadowie i dziadowie. Mój ojciec został zabity w roku 1999. Jego śmierć była przypadkowa i absurdalna: stał na przystanku, kiedy zaczęło się bombardowanie wioski i odłamek trafił go w samo serce. Ile mojej mamie przyszło wycierpieć! A co widzieliśmy dobrego my, jej dzieci? Najpierw jedna wojna, potem druga. Przeprowadzaliśmy się z miejsca na miejsce, nie wiedząc, dokąd los pchnie nas następnego dnia. Cztery pokolenia mojego rodu nie zaznały spokojnego życia. Czy naprawdę wszyscy jesteśmy bandytami? Kto mi odpowie na to pytanie?”.

Przypisy:

Przesiedlanie górali na niziny wyjaśniano w ZSRR poprawą ich bytu, ale w Czeczenii istniał ku temu jeszcze jeden powód. Powrót Czeczenów na tereny górskie po roku 1957 nie tylko był niezwykle utrudniony – zapuszczone wioski, drogi, infrastruktura po 13 latach przestawiały żałosny widok – ale też okazali się tu niepożądanymi przybyszami, intruzami. W czasie deportacji 1944 znaczna część Czeczenów i Inguszków uciekła w góry i zaczęła stawiać opór. Rozmiary partyzanckiego ruchu oporu i walk z partyzantami, prowadzone przez NKWD-MGB końcem lat czterdziestych można porównać do tego, co miało miejsce na Litwie i Zachodniej Ukrainie. Do czasu powrotu deportowanej ludności ruch ten został całkowicie zdławiony, pozostali tylko pojedynczy abrecy (ostatniego, Chasucha Magomadowa, zabito dopiero w roku 1976).

Mój pradziad – Salam-muła

Aminam Sałamowa, Grozny,

szkoła nr 17, kl. 10

Każdy człowiek ma swoje nazwisko i swą rodową historię. Jestem Czeczenką, nazywam się Sałamowa. Może to niezbyt pożądana narodowość dla uczestniczki ogólnorosyjskiego konkursu. Moje nazwisko pochodzi od imienia człowieka, którego tragiczne losy znane są w całej Czeczenii. Jego pełne imię brzmi: Abdul Salam, ale ludziom zarówno w środowisku religijnym, jak i przedstawicielom władzy radzieckiej znany był jako Salam-muła z Warandy (1).

Był wybitnym działaczem religijnym i społecznym pierwszej połowy XX wieku. Jego los był podobny do losów milionów obywateli narodów wchodzących w skład byłego ZSRR. Niezwykle jest jednak to, że dramat Salam-muły odzwierciedla niemniej tragiczne losy jego wnuków i prawnuków oraz całego narodu czeczeńskiego początku XXI wieku. Do chwili obecnej wielu czołowych liderów religijnych cytuje mądre wypowiedzi Salam-muły. Znam mnóstwo przykładów, kiedy goście naszego domu w rozmowach na tematy religijne i etyczne powoływali się na wypowiedzi Salam-muły, często nie mając pojęcia, że mój ojciec, Owta, jest w prostej linii jego wnukiem.

Na czym polegają zasługi Salam-mułły dla Czeczenii? Dlaczego współcześni wpisali jego imię w poczet szejków i alimów [uczonych – od tłum.] Czeczeno-Inguszetii?

Chciałabym, aby rówieśnicy poznali mojego pradziadka nie tylko jako jednego z wiodących działaczy religijnych naszego kraju, ale jako krzewiciela kultury i moralności czeczeńskiego narodu.

Kiedy się urodził? Jak żył?

W roku 1840 karna kompania wojsk rosyjskich po raz kolejny spaliła wioskę – wszystkie zagrody, sady, zboża na polach i rozstrzelała tych, którzy nie zdążyli uciec: starców i kobiety z małymi dziećmi. Po tej krwawej ekspedycji wojsko oddaliło się w stronę Gojty i Urus-Martanu. Spalona wioska nazywała się Czachker-Jurt, uważana była za centrum czeczeńskiego tejpu Warandoj, którego ziemie zajmowały rozległe tereny graniczące na północy z dzisiejszym Czeczen-aulem i rozciągające się wzdłuż prawobrzeżnego Argonu, na południu – z wioskami Borzoi i Waszendaroi, na południowym zachodzie – z wioską Charsenoi, a na zachodzie – dystryktem urus-martanowskim. W miejscu spacyfikowanej wioski Czachker-Jurt wzniesiono twierdzę Wozdwiżeńską (1). W roku 1919 zburzyła ją czeczeńska Armia Czerwona z Ałambekiem Szaripowem na czele.

Salam-mułła urodził się między rokiem 1867 a 1870 w wiosce Warandy w rodzinie pochodzącej z Czachker-Jurtu. Był trzecim synem w tej rodzinie, a jego pełne imię brzmiało Abdul-Salam („Salam” tłumaczy się z arabskiego jako „miłujący pokój”). Wyrósł w środowisku bardzo religijnym i już w wieku 5-6 lat zaczął odprawiać namaz [rytualne modlitwy – od tłum.] wraz z dorosłymi muzułmanami. Kiedy był jeszcze małym chłopcem, jego ojciec, Astami, oddał go do szkoły religijnej – medresy, znajdującej się w Urus-Martanie. Nauczycielem przyszłego szejka był arabista Chaki. Abdul-Salam okazał się bardzo zdolnym uczniem. Spędził przy boku swego nauczyciela 26 lat, a potem przez całe życie zgłębiał teologię i filozofię islamu. Jako młody chłopak Abdul-Salam potrafił już swobodnie pisać i rozmawiać w języku arabskim (2) i doskonale znał Koran. Język arabski był mu potrzebny, by czytać i tłumaczyć tę Świętą Księgę (wtedy nie było zbyt wiele jej przekładów). Chaki był bardzo zadowolony z Salama i po skończeniu przez niego nauki rzekł: „Niewielu uczniów mogę pochwalić za nadzwyczajną gorliwość w nauce, ale mój uczeń Salam należy do tych nielicznych i wynosi stąd prawdziwą wiedzę”.

Na początku XX wieku Salam-mułła wrócił do domu i napisał żejn (odpowiednik dzisiejszej pracy doktorskiej). Otworzył też swoją szkołę – chużar-medresę. Przyjeżdżali do niego na nauki młodzi ludzie z wielu górskich i podgórszych rejonów (szatojskiego, itum-kalińskiego, szaro-arguńskiego, gałanczożewskiego, urus-martanowskiego czy atagińskiego). Ponad 30 lat Salam-mułła uczył młodzież teologii i filozofii islamu, wypuścił około 500 uczniów. Wielu z nich zostało wybitnymi przywódcami religijnymi i autorytetami w dziedzinie teologii.

Salam-mułła był jednym z największych działaczy religijnych. Jego wpływy rozciągały się na dystrykty: sztojski, itum-kaliński, urus-martanowski, gałanczożewski i czebertojewski (3), a później na całą Czeczenię i Inguszetię. Od początku nie był lubiany przez władze carskie, a potem też i radzieckie. Zawsze z tej samej przyczyny: bano się jego wpływów. Po rozpadzie monarchii w roku 1917 nowa władza

dążyła do wytępienia religii, a Salam nieustrudzenie kontynuował działalność religijną i społeczną. Do dnia dzisiejszego wspominają go starzy mieszkańcy rejonów gałaszkińskiego (4) i Nasyr-Korta (5), jak również innych części Inguszetii.

W końcu lat 20. i na początku 30. XX wieku na skutek głodu i represji zarówno w Czeczenii jak i Inguszetii zaczęły się buntury. Powstały całe wioski i rejony, rozwinęło się abreczestwo [od czeczeńskiego słowa „abrek” - zbójnictwo, samotna walka z wrogiem – od tłum.]. Salam przekonywująco i z naciskiem pouczał powstańców, że problemu głodu nie da się rozwiązać drogą walki i przemocy. W ten sposób setkom ludzi uratował życie i wiele górskich aułów ocalił od zagłady. Potępiał donosicielstwo, dwulicowość i fałsz. Godził zwaśnione wioski i tejsy. Kiedy w siódmej klasie zaczęłam się interesować historią swego narodu, mój stryjeczny dziadek przytoczył mi dwa przykłady z szerokiej działalności Salam-mułły.

W latach 20. dwa tejsy wioski Machkety (6) walczyły z sobą o ziemię. Wrogie strony poprosiły o pomoc Salama. Mułła najpierw zapoznał się z topografią miejscowości, a potem wzdłuż linii górskiego pasma wyznaczył granicę między nimi. Ten górski łańcuch nosi od jego imienia nazwę Salam-Duk.

W latach 30. w górskich osadach dystryktów gałancożewskiego i aczchoj-martanowskiego wybuchały groźne zamieszki, a w jednej z wiosek prawie cała ludność uzbroiła się i ruszyła w góry. Co było tego przyczyną? To co zawsze: represje i głód. Buntownicy odmówili podporządkowania się władzy, co groziło nowym rozlewem krwi. Pojechał do nich Salam-mułła i po długiej, niełatwej naradzie ludzie wrócili do swych zajęć. Tragedia została zażegnana.

Latem roku 1931 w wiosce Machkety pewien człowiek dopuścił się haniebnego czynu, lecz nie miał zamiaru się do niego przyznać, a tym bardziej odpowiadać za jego popełnienie. Został zabity człowiek, podejrzenie padło na niewinnego chłopaka, który miał ponieść niezastudzoną karę. Aby wyjaśnić sytuację, zaproszono Salam-mułłę. Ten, wraz z kilkoma towarzyszami, podjął się misji i wyruszył w trudną drogę przez góry. Kiedy schodził ze stoku, abrek – winowajca całego zajścia – zobaczył go i poznał. Domyślił się, dlaczego zaproszono mułłę i, nie czekając, aż ten dojdzie do wioski, pobiegł do starszyny, przyznał się do zbrodni i wyraził gotowość poniesienia kary. Taki szacunek wzbudzał Salam-mułła u ludzi. Tam, gdzie miejscowe władze były bezsilne, wzywano go, by godził zwaśnione strony.

Krwawe porachunki między rodami ciągnęły się czasem przez całe dziesięciolecia i zażegnanie ich było rzeczą niełatwą, bo co jakiś czas wybuchały na nowo, ale te tejsy, które pogodził Salam-mułła, nie żywiły już do siebie pretensji i żyły odtąd zgodnie.

Salam miał trzy żony i trzynaścioro dzieci, z których dwoje żyje do dzisiaj. Są to: córka Majmunat i syn Abdurachman. To w bocznej linii moi dziadkowie.

Ze wspomnień syna Abdurachmana: „Miałem może 15 lat, kiedy zaginął ojciec, i do dziś ze smutkiem wracam do tego wydarzenia. W pamięci pozostał mi jednak dom, zawsze pełen gości przychodzących do ojca po radę i pomoc. Żyliśmy skromnie, bo nasz ojciec nie lubił dostatku, jednak zawsze mieliśmy zapewnione ciepło domowego ogniska i poczucie bezpieczeństwa.

Salam-muła miał ogromną bibliotekę, w której znajdowały się książki przywiezione z różnych krajów Bliskiego Wschodu. Obchodził się z nimi bardzo delikatnie i troskliwie. Przechowywał również rękopis z historią naszego rodu od XII wieku, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Strzegł go, podobnie jak jego przodkowie, niczym oka w głowie i sam również wpisywał tam najważniejsze wydarzenia z życia tejpu. Rękopis ten, po czeczeńsku „teptar”, zaginął wraz z całą biblioteką w roku 1944, kiedy wysiedlano ludność czeczeno-inguską.

Po powrocie z zesłania w Kazachstanie, w roku 1957, dzieci Salama próbowały odnaleźć chociaż część cennych zbiorów ojca, ale daremnie. Jakiś czas później do wuja mojego ojca, tzn do Salam-muły Abdurachmana, przyjechali z Dagestanu duchowni i przywieźli dwie niewielkie skrzynki z żajnamami [tekstami modlitw używanymi jako talizmany – od tłum.] i egzemplarze Koranu z biblioteki pradziadka. Znalaziono je we wsi Warandy. Ocalały dzięki Dagestańczykom, ale większość dzieł, która dostała się do piwnic NKWD, bezpowrotnie przepadła.

Dagestańczycy stanęli na straży źródeł kultury muzułmańskiej i kaukaskiej (8). Dzięki im za to! Marzę, aby po skończonej wojnie, jeżeli przeżyję, odnaleźć rodziny tych szlachetnych ludzi i wyrazić im swoją wdzięczność.

Imam Salam-muła posiadał własną pieczęć, którą oznaczył wszystkie książki i rękopisy w swojej bibliotece. Ta pieczęć i przetłumaczony przez niego Koran należały do najstarszego syna Salama, Abdula Azima, a po jego śmierci – do młodszego, Abdurachmana, który przekazał te relikwie mojemu ojcu. Niestety, zaginęły one w czasie pierwszej wojny czeczeńskiej razem z innymi cennymi przedmiotami z naszej biblioteki.

Salam-muła nigdy, ani potajemnie, ani jawnie, nie wzywał do obalenia władzy radzieckiej. Mówił tylko, że pojedyncze zrywy niczego nie zdziałają.

W czasie rewolucji i wojny domowej rosyjscy socjaliści ze wszystkich sił starali się nakłonić mieszkańców gór do przejścia na ich stronę. W zamian za opowiedzenie się po stronie bolszewików obiecywali Czeczenom wspaniałe życie, swobodę religijną i inne przywileje. No i swój cel osiągnęli. Czeczeni i Ingusze, którzy mieli we krwi nienawiść do carskich urzędników z powodu ciągnącej się przez wieki wojny kaukaskiej, z chęcią im pomogli, by pomścić wszystkie nieszczęścia, które carat ściągnął na ludy Kaukazu. 11 sierpnia 1918 roku zaczęła się 100-dniowa bitwa o Grozny. 29 sierpnia 1918 roku Ordżonikidze telegrafował do Lenina: „Pod Groznym toczą się walki. Do miasta wkroczyła czeczeńska Armia Czerwona”.

W latach 30. dla Kaukazu i całego ZSRR zaczął się „krwawy karnawał”. Władze nie szczędziły sił, by zniszczyć duchownych i działaczy religijnych w Czeczenii i Inguszetii.

Salam-muła wiedział, co mu grozi, ale nie ulegał namowom, by wyjechać z kraju. Nie chciał opuszczać rodzinnych stron, miejsc, w których wzrastał i żył. W latach 30. był stale gdzieś wzywany, przesłuchiwany, ale pozostawał na wolności. Przez pewien czas na czele GPU [Gosudarstwiennoję Politiczskoje Uprawienie –

Państwowy Zarząd Polityczny – od tłum.] stał niejaki Salamow, Osetyniec. Dobrze znał mojego pradziadka i obiecał mu, że dopóki w Czeczeno-Inguszetii sprawuje swój urząd, to pradziadkowi więzienie nie grozi, ale radził mu wyjechać, gdyż później w każdej chwili może zostać aresztowany.

Tak też się stało. Pradziadka osadzono w więzieniu. Naprzeciw niego usiadł czekista i spytał: „Poznaję mnie pan?”. Kiedy padła odpowiedź przecząca, śledczy rzekł: „A ja pana bardzo dobrze pamiętam. Było to jeszcze w czasie wojny domowej, w jednej z bitew zostałem ciężko ranny, umierałem, a pan uratował mi życie. Nigdy nie zapomnę, jak pan mnie leczył i opiekował się mną. Będę panu do śmierci zobowiązany!”. Po tych słowach czekista wypuścił Salama, który znów uniknął aresztu. Ale nie na długo...

Pewnego razu przyszli do niego przedstawiciele inguskiego duchowieństwa z ustazem (9), szejkiem Kunta-Chadżimem (10) na czele. Uprzedzili go o niebezpieczeństwie oraz zaproponowali schronienie i pomoc. Ale Salam-muła powiedział: „Jeżeli się ukryję, to oni zamęczą moją rodzinę i przyjaciół. Nie chcę, by ci cierpieli z mego powodu!”.

30 czerwca 1937 roku do Salam-muły przyszedł funkcjonariusz NKWD dystryktu szatojskiego i oznajmił, że prosi go do siebie przedstawiciel NKWD Republiki Czeczeńskiej w Groznm, bo potrzebuje jego rady. Salam domyślił się, w jakim celu jest wzywany, wiedział, że stamtąd już nie wróci, a mimo to pojechał...

Dlaczego nie aresztowano go oficjalnie? Dlatego, że się bano. Obawiano się, że ludzie przeszkodzą w uwięzieniu imama Salam-muły, dlatego użyto podstępu. Chociaż czy można tu mówić o podstępie? To było najwyraźniej okrucieństwo! Według jednych informacji pradziadek został rozstrzelany w groźnieńskim więzieniu jeszcze w 1937 roku, a według innych – przebywał 8 lat na katordze w jednym z gułagów, gdzie zmarł w roku 1945... (11). Miał wtedy 77 lat. Rodzinie nie udało się uprosić wydania zwłok, więc nie pochowano go zgodnie z muzułmańskim obyczajem... Nie wiadomo, gdzie znajduje się jego grób.

Kiedy w roku 1905 Salam-muła wrócił ze szkół, zbudował meczet. Meczet ten zburzono w czasach deportacji, a na jego miejscu postawiono cielętnik. W roku 1991 mieszkańcy wsi Warandy odbudowali świątynię. W latach pierwszej wojny czeczeńskiej znów została ona zniszczona, ale w roku 1996 ponownie odbudowana. W roku 1999 kolejny raz ucierpiała i teraz mieszkańcy wsi oczekują końca wojny, by ostatecznie odbudować meczet tejpu Warandoj.

Następcą Salama został jego syn Abdurachman. Obecnie jest imamem naszego tejpu i wielce szanowanym przywódcą religijnym. Kontynuuje działalność ojca. Już kilka razy był na Kremlu (na posiedzeniach, gdzie omawiano sprawy Czeczenii) i dwa razy osobiście rozmawiał z prezydentem W. Putinem.

Każda rodzina posiada dokumenty lub inne przedmioty należące kiedyś do jej przodków. Są chętnie pokazywane, kiedy opowiada się rodowe historie. Ja zaś mogę pochwalić się tylko jedną jedyną fotografią mojego pradziadka i odciskami jego pieczęci na zachowanych egzemplarzach Koranu. Wszystko inne zaginęło w czasie wojny, a kindżał Salam-muły skradziono, bo prawdopodobnie komuś spodobała się jego przepiękna rękojeść...

Na zakończenie chcę powiedzieć coś bardzo ważnego: Czeczeni nie są bandytami ani terrorystami. Czeczenia jest kolebką szejków. Oni przepowiedzieli nam spokojne i szczęśliwe życie. I naród w to wierzy.

Przypisy:

<!--[if !supportLists]-->(1) <!--[endif]-->Wioska (a raczej kilka wiosek) w górzystym dystrykcie szatojskim na zachodnim stoku Wąwozu Ajuńskiego.

<!--[if !supportLists]-->(2) <!--[endif]-->Twierdza Wozdwiżeńska – wzniesiona w roku 1844 na wzgórzu w sąsiedztwie aułu Wielkiej Atagi (w odległości 2 km), około 20 km od twierdzy Groznaja (obecnie miasto Grozny), przy wejściu do Wąwozu Ajuńskiego.

<!--[if !supportLists]-->(3) <!--[endif]-->Powszechnie opinie o analfabetyzmie górali kaukaskich przed nastaniem władzy radzieckiej biorą się stąd, że mało kto umiał czytać i pisać po rosyjsku, gdyż posługiwano się pismem arabskim. Wprowadzenie czeczeńskiego języka pismem, opartego na alfabecie łańskim, a następnie zastąpienie go cyrylicą, zniszczyło praktycznie dziedzictwo kulturowe narodu.

<!--[if !supportLists]-->(4) <!--[endif]-->Jest to na samym południu Czeczenii. Azimat wymienia stare nazwy dystryktów (do roku 1944). Po deportacji ludności ponownie nie zasiedlano tych górskich rejonów i zmienił się ich podział administracyjny. Szatoj został przemianowany na Sowietskoje, do którego przyłączono większość terenów górskich, część zaś przeszła do Dagestanu i Gruzji. Ziemie te powróciły po ustanowieniu Czeczeńsko-Inguskiej ASRR w roku 1957, ale praktycznie nie zostały zasiedlone, a wręcz przeciwnie – ludność z tych terenów, która powróciła z zesłania, była przymusowo osiedlana na równinach. Dystrykty: itum-kaliński i czebetojewski zostały przywrócone Czeczenii dopiero pod koniec XX wieku, rejon gałanczożewski (gdzie znajdowała się właśnie wioska Chajdach) nie został zasiedlony, a jego ziemie wchodzi dzisiaj w skład dystryktu urus-martanowskiego. Ziemie „równinnego” rejonu atagińskiego zostały podzielone między dystrykty: szaliński, urus-martanowski i grozneński.

<!--[if !supportLists]-->(5) <!--[endif]-->Obecnie wchodzi w skład sunżeńskiego dystryktu Inguszetii.

<!--[if !supportLists]-->(6) <!--[endif]-->Obecnie znajduje się w granicach miasta Nazrań.

<!--[if !supportLists]-->(7) <!--[endif]-->W górzystym dystrykcie wedeńskim.

<!--[if !supportLists]-->(8) <!--[endif]-->Prawdopodobnie byli to łakowie (nie należący wajnachów), którzy po roku 1944 zostali przymusowo osiedleni na terenach, z których wysiedlono wajnachów w Czeczenii, Inguszetii i w rejonach: chasawjurtowskim i nowołańskim w Dagestanie.

<!--[if !supportLists]-->(9) <!--[endif]-->Ustaz – teolog muzułmański

<!--[if !supportLists]-->(10) <!--[endif]-->Kunta-Chadzi Kiszijew – teolog, wprowadził w Czeczenii w połowie XIX wieku karydyjski tarikát (dosł.: droga) czyli określenie sposobu postępowania jednostki mającej skłonności mistyczne. Ten termin odnosi się głównie do islamu **sufijskiego**, dziś szeroko rozpowszechnionego.

<!--[if !supportLists]-->(11) <!--[endif]-->W aktach zgonu, które były wydawane w latach 50.-60. rodzinom rozstrzelanych w czasach „wielkiego terroru”, daty śmierci były nieprawdziwe.

Rodzina czeczeńska: związek epok i pokoleń

Turpał Jusupow, Gudermes,

student 2 roku Kolegium Prawa i Ekonomii

Chcę opowiedzieć historię jednej tylko rodziny. Przekazał mi ją ojciec, dziennikarz Rusłan Jusupow.

Dziadka nie miałem okazji poznać – zmarł, gdy Rusłan miał zaledwie 5 lat. Fakty z jego biografii świadczą, że był nieprzeciętnym człowiekiem, niezwykłą osobowością. Podwójne wykształcenie (budowlane i pedagogiczne) w tamtych czasach miało zaledwie paru obywateli naszego narodu. W wieku 17 lat mianowano go dyrektorem Szkoły Średniej nr 2 w Gudermesie, co odnotowano w jego Książeczce Pracy, a następny zapis informuje: „24 lutego 1944 zwolniony w związku z wysiedleniem”.

Dziadek, Chamid Jusupow, po zrobieniu specjalizacji inżyniera geologa przez parę kolejnych lat ujarzmił dzikie stępy Kazachstanu. Zmarł niedługo po powrocie w rodzinne strony w kwiecie wieku, mając zaledwie 37 lat. Posiadając taki potencjał intelektualny, mógł wyświadczyć rodzinie i społeczeństwu wiele dobrego.

Opowiem o losie jeszcze jednego członka rodziny – mojego pradziadka Magomeda Jusupowa. Wiąże się z nim wspaniała historia, którą powinna usłyszeć cała Czeczenia w audycji *Czekaj na mnie*. Ale, po kolei...

Zachowała się karta personalna Magomeda Jusupowa z rejestru wojskowego. Zamieszczone tam zapiski dostarczają ważnych informacji. Magomed był uczestnikiem walk przeciw Denikinowi w czasie wojny domowej i członkiem nadzwyczajnej komisji do spraw organizowania pomocy dla frontu w latach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Niewiele brakowało, a nasza rodzina nigdy nie poznałaby historii, której głównym bohaterem był mój pradziadek, gdyż nikt z jej naocznych świadków nie pozostał przy życiu. Ale pomógł zbieg okoliczności. Kilka lat temu życie doprowadziło do spotkania pod jednym dachem (redakcji gudermeskiej gazety „Gums”) mojego ojca i człowieka w podeszłym wieku, którego nazywają u nas „rosyjskim Czeczenem” lub też „człowiekiem-legendą”. To Jurij Koptiew, weteran Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, uczestnik bitwy pod Stalingradem, człowiek, który przemierzył całą Europę, na froncie dalekowschodnim walczył z Japończykami, a 12 medali i 4 ordery wymownie świadczą o jego szlaku bojowym. Po wojnie związał swoje życie z gudermeską gazetą i tam właśnie poznał go mój ojciec – redaktor działu politycznego.

Wielu mieszkańców Gudermesu nosi nazwisko Jusupow, dlatego Koptiew nie od razu zorientował się, że Rusłan może mieć powiązanie z tym Jusupowem, z którym łączą go niezatarte wspomnienia. Dowiedziawszy się, że to rodzina, rozplakał się i serdecznie ojca uściskał.

Początek historii, którą opowiedział nam Jurij, ginie w zamierzchniej przeszłości. W latach 20. ubiegłego wieku z różnych części Rosji przybyło do Gudermesu wraz z rodzinami wielu rzemieślników i robotników, by budować kolej i osiedla mieszkaniowe. Początkowo przebywali w gościnnych czeczeńskich rodzinach. Koptiewów wraz z dziećmi przygarnął kolejarz, mieszkaniowiec aułu we wschodniej części miasta, gdzie żyją rdzenni gudermesanie, Magomed Jusupow – dziadek Rusłana, a mój pradziadek. Oddał przybyszom jedną z dwóch swoich sakli (izb). Tu w roku 1922 przyszedł na świat Jurij.

Przedemną leży szereg publikacji prasowych z ostatnich lat. Na przykład w 50. numerze „Argumentów i faktów” z grudnia 2002 roku jest artykuł *Człowiek-legendy*, a w nim wypowiedź J. Koptiewa: „Przyszedłem na świat na głos imama (podwórce domu Jusupowów przylegało do wiejskiego meczetu) wzywającego do bojaźni Bożej i pobożności, w rodzinie szlachetnego i niezwykle przyzwoitego człowieka, Magomeda Jusupowa”.

Jurij opowiadał, że żyli jak jedna rodzina, dzielili się wszystkim, co mieli. „Nigdy nie zapomnę smaku kukurydzianego czurka [rodzaj placka – od tłum.], który upiekła Ajszat, żona Magomeda – wspomina. – Wraz z czurkiem wchłonałem dobroć tych ludzi, ich duchową szlachetność, prostotę i mądrość”.

Kiedy Jurij Koptiew skończył dziesięć lat, przeżył wstrząsające zdarzenie. W pogodny, słoneczny dzień na podwórku, gdzie bawił się ze swymi rówieśnikami, zakradł się nieznajomy chłopczyk. Zobaczywszy leżące na ziemi gruszki, zaczął je łapczywie zjadać, nie zwracając na nikogo uwagi. Dzieci zawołały Ajszat, która zaczęła wypytywać małego przybysza, skąd jest i jak się nazywa. Ale malec, jak się później wyjaśniło, nie rozumiał po czeczeńsku, więc Magomed powtórzył mu te pytania po rosyjsku. Okazało się, że chłopiec przyjechał razem z mamą i siostrą aż z Powołża, szukając ratunku przed głodem, i że mama, która zatrzymała się na skraju aulu, posłała go, by wyprosił u ludzi coś do jedzenia. Magomed kazał Ajszat nakarmić dziecko, a sam ruszył na poszukiwanie jego rodziny. Wszystkie dzieci, w tym i Jurij, poszły razem z nim.

Niedaleko natknęli się na straszną scenę: na ziemi leżała kobieta nie dająca znaków życia, a nad nią stała, zanosząc się płaczem, maleńka dziewczynka. Kobieta zmarła prawdopodobnie z głodu i wyczerpania. Wstrząśnięty tym widokiem Magomed wziął dziewczynkę za rączkę i wszyscy wrócili do aulu. Zbiegli się ludzie, przybyli też przewodniczący rady gminy i miejscowy milicjant. Wynajęto furmankę, na której ułożono zmarłą, zawieziono na rosyjski cmentarz i tam pochowano. Kiedy ludzie ponownie się zebrali, by zdecydować o losie osieroconych dzieci, Magomed nalegał, aby pozostały one w jego rodzinie. Tak też się stało. Chłopiec miał na imię Aleksiej, a dziewczynka – Oksana. Rodzeństwo szybko oswoiło się z nowym środowiskiem. Jusupowie otoczyli je taką samą troską jak własne dzieci. Sieroty wkrótce opanowały język czeczeński i przyjęły nazwisko swoich opiekunów.

Niedługo potem rodzina Koptiewów otrzymała przydział na mieszkanie i opuściła aul, chociaż nadal utrzymywała bliskie kontakty z Jusupowami. Po ukończeniu szkoły w roku 1940 Jurij Koptiew rozpoczął studia na uczelni wojskowej w Ordżonikidze, a stamtąd, jako prymus, został skierowany do Akademii Lotnictwa Wojskowego w Jejskoje.

Swoją wojskową karierę Jurij zakończył w stopniu kapitana na Dalekim Wschodzie, biorąc udział w wyzwoleniu Mandżurii. Odnosił wiele ran. Kiedyś, prawie umierającego, wyniósł go z pola walki, ryzykując własne życie, jego towarzysz broni – Czeczen. Na skutek odniesionych obrażeń przeszedł na Dalekim Wschodzie cztery operacje, ale już 18 dni po ostatniej opuścił szpital i pojechał, w towarzystwie sanitariuszki, do domu – do Gudermesu. To, o czym dowiedział się po powrocie, o mało go nie zabiło: jego pięciu braci zginęło na froncie, a Czeczenów wysiedlono na obczyznę.

Gdy nieco doszedł do siebie, udał się pospiesznie do aulu, w którym się urodził i wychował, gdzie dom Czeczenów stał się jego domem rodzinnym. Powitała go starsza kobieta. Wyjaśniła, że znalazła się tu wbrew swojej woli, że pochodzi, tak jak jej sąsiedzi, z okolic Orłowa, i zmuszono ich do zamieszkania na tych ziemiach. Powiedziała mu też, że jakiś czas temu przychodził tutaj pewien wojskowy w stopniu kapitana, z medalami i odznaczeniami, i równie usilnie wypytywał o rodzinę Jusupowów, nazywając ją swoją najbliższą rodziną. Ten oficer (a był nim Aleksiej Jusupow), z trudem powstrzymując łzy, ukląkł, zawiązał w chustkę garść ziemi, włożył za pazuchę i odszedł. Po przeżytych okropnościach wojny miał pewnie nadzieję zacząć spokojne życie wśród drogich sobie ludzi.

Niestety, ani Koptiew, ani mój ojciec nie zdobyli żadnych informacji o Aleksieju i Oksanie. Masowe represje w roku 1944 pogmatwały losy tysięcy Czeczenów, rozdzielając ich na zawsze od bliskich.

Jurij Koptiew i Rusłan Jusupow zaczęli pracować razem w gazecie „Gums”. W ubiegłym roku w redakcji świętowano uroczystość 80. urodziny Koptiewa, honorowego obywatela dwu miast: Stalingradu [obecnie Wołgogradu – od tłum.] i Gudermesu.

Ale na tym historia się nie kończy. Artykuł Jurija Koptiewa, który ukazał się w miejscowej prasie, poruszył społeczeństwo. Powstał pomysł, by tę publikację przesać do Moskwy, do redakcji audycji telewizyjnej *Czekaj na mnie*. Pojawiła się nadzieja, że po usłyszeniu opisaną w nim historię, Aleksiej lub ktoś z jego dzieci, odezwie się i opowie o sobie.

Pomysł ten udało się zrealizować. Główny redaktor programu, Tatiana Bajdajewa poinformowała telefonicznie redakcję „Gums”, że autorzy audycji są bardzo zainteresowani tematem i zapraszają Koptiewa i mojego ojca do Ostankina na nagrania. Nagrania się odbyły. Reportaż telewizyjny miał składać się z trzech części. W czasie nadawania dwóch pierwszych na ekranie tylko od czasu do czasu migwały twarze siedzących przy stole bohaterów „czeczeńskiej” historii, ale ich wypowiedzi nie były transmitowane.

Uczestnictwo w takim nagraniu dawało przecież możliwość pokazania całemu krajowi prawdziwego oblicza narodu czeczeńskiego, stale fałszowanego przez środki masowego przekazu. Wyjazd do Moskwy przerodził się w swego rodzaju misję, o czym informowały miejscowe gazety i telewizja. Można rzec, że cała Czeczenia czekała na pojawienie się swoich postaćów w ogólnie lubianej audycji. Ale się nie doczekała.

Później Rusłan systematycznie dzwonił do głównego redaktora, ale w odpowiedzi otrzymywał jedynie mgliste wyjaśnienia: mamy napięty grafik, zajęte terminy, musicie czekać... Aż w końcu powiedziano im prawdę: Tatiana Bajdajewa poinformowała ich przeproszającym tonem, że wystąpienia przedstawicieli Czeczenii nie mogły zostać wyemitowane, gdyż było w nich zbyt dużo polityki. Kasetę z nagraniem wylądowała w archiwum.

Wywołało to w Czeczenii wielkie oburzenie i niezadowolenie. Sądzono powszechnie, że w tego rodzaju audycji nie powinno się tak krzywdząco traktować Czeczenów. Ale, jak to mówią: „Rosji rozumem nie ogarniesz”.

Tak więc ta historia rodzinna, mająca swój początek w Gudermesie, zakończyła się w Moskwie. A przecież właśnie tutaj mogła zacząć się jej kontynuacja, mogli pojawić się w niej nowi bohaterowie i nowe wątki. Być może gdzieś na rosyjskiej ziemi żyje do dziś Aleksiej Jusupow i nawet nie wie, że znów mógłby zostać członkiem naszej rodziny. Bóg widzi, że nasze serca pozostają nadal otwarte dla niego i jego dzieci.

Odślon: 1580

Bądź pierwszym który skomentuje



Tylko zarejestrowani użytkownicy mogą dodawać komentarze.
Proszę zaloguj się lub zarejestruj.

Powered by AkoComment Tweaked **Special Edition** v.1.4.6
Polska adaptacja **JoomlaPL.com Team**
AkoComment © Copyright 2004 by Arthur Konze - www.mamboportal.com
All right reserved

Zmieniony (02.08.2008.)

Zamknij okno